Nr. 4. Lwów, Niedziela dnia 23. Września 1877 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

SPÓŁKA BAZAROWA

DLA PRZEMYSŁU DOMOWEGO.

Wartość przemysłu domowego głównie na tem polega, że gdyby on rozwinął się należycie, to korzystnie zatrudniałby miliony rąk ludności rolniczej, próżnującej dotychczas przez znaczną część roku. Od kilku lat więcej mówi się u nas o przemyśle domowym; powstało już kilka fachowych szkółek rękodzielniczych, których zadaniem jest doskonalić i krzewić utrzymane dotychczas w niektórych okolicach szczątki kwitnącego dawniej przemysłu domowego; nowych parę szkółek podobnych tworzy się, a wreszcie na podstawie tegorocznej uchwały Sejmu, powziętej na wniosek p. Abrahamowicza, zapewnione jest zakładanie systematyczne szkół rękodzielniczych we wszystkich miejscowościach, gdzie one rzetelnie są potrzebne. Trwałą to wreszcie będzie stanowiło zasługę tegorocznej wystawy krajowej, że zwraca ona uwagę najszerszych kół na olbrzymie znaczenie, jakie przybrać może, i powinien w gospodarstwie krajowem domowy przemysł.

Chodzi więc teraz o to, ażeby wrażenie, jakie wywiera widok wyrobów włościańskich nagromadzonych przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego w oddziale przemysłu domowego na wystawie krajowej, nie przeminęło bezużytecznie. Można jednak spodziewać się, że tak nie będzie, że jeśli dotychczas przeważnie tylko w tym jednym kierunku zwracano baczność na przemysł domowy, ażeby zakładane były szkoły fachowe dla wydoskonalenia jego wyrobów, to na przyszłość przyłączą się jeszcze do tego usiłowania, ażeby dla produktów przemysłu domowego otworzyć handlowe drogi odbytu na szerszą skalę, bez czego i najlepsze szkoły nie wiele mogłyby mu dopomódz.

Istnieje mianowicie projekt utworzenia we Lwowie spółki bazarowej, której zadaniem byłoby pielęgnować komercyalne interesa przemysłu domowego. Podobna spółka mogłaby nieobliczone przynieść korzyści dla rozwoju przemysłu domowego w naszym kraju, jeżeliby zjednoczyła w swem gronie znaczną ilość członków, ażeby tym sposobem złożyć się mógł dostateczny kapitał obrotowy, jeżeliby kierownictwo jej było ożywione duchem obywatelskim, a przy tem, co najgłówniejsza, jeżeliby jej zarząd był praktyczny, oględny, ruchliwy i sprytny. Wiadomo, iż u nas najpiękniejszą przyszłość przedstawiające przedsiębiorstwa marnieją najczęściej nie z innej jakiejkolwiek przyczyny, jak tylko dla tego, że w administracyi większą odgrywa rolę ambicya i uczucia, niż rozumny rachunek. Jeżeliby w ustroju projektowanej spółki bazarowej ten błąd popełniony został, to zaiste lepiejby było nie zaczynać, gdyż tak jak nieumiejętny ogrodnik, który bierze się do uszlachetniania roślin — zamiast uszlachetnić, kaleczy i niszczy zostające pod jego opieką drzewa, tak podobnie niedołężnie administrowana spółka bazarowa dla przemysłu domowego, zbankrutowawszy, nietylko że nie przyniosłaby żadnej korzyści przemysłowi domowemu, ale owszem poszkodziłaby gruntownie.

Lecz na każdy sposób pomysł utworzenia spółki bazarowej dla wyrobów przemysłu domowego nazwać potrzeba bardzo szczęśliwym i na czasie powziętym. Wszakże kupujemy z drzewa rzeźbione galanteryjne drobiazgi roboty czeskiej lub szwajcarskiej, gdy możemy mieć taniej bez porównania takie same rzeźby rymanowskie, a po części także zakopańskie, nie ustępujące zagranicznym ani elegancyą fasonu, ani czystością wykonania. Prześliczne koszyki na cukry i robótki damskie, jakoteż koszyki ręczne i podróżne wyrobu włościan z krakowskiego nie potrzebują obawiać się porównania z francuskiemi lub niemieckiemi tego samego rodzaju wyrobami. Niciane koronki do bielizny sprowadzają nasi kupcy ze Szląska i z Czech, gdy Chorkówka pod Krosnem dostarczać może równie dobrego towaru. Płótna domowe, wełniane dywaniki, koce, przeróżne plecionki ze słomy, szuwaru i korzeni, łyżki drewniane, bednarskie i garncarskie wyroby itd. znalazłyby pewnie wielu chętnych odbiorców, gdyby ktoś zajął się umiejętnie wprowadzeniem ich w handel. Czemuż nie otworzyć dla tych wyrobów szerokich dróg odbytu, czemu nie zmusić publiczności do należytego uznania dla nich, czemu — jednem słowem, nie uczynić ich *modnemi?* Czyż zaprzeczy kto temu, że pewne sfery potrzebują tylko chcieć, ażeby zrobić modnem, co im się żywnie podoba? Więc dla czego nie podjąć usiłowań w tym kierunku, ażeby zaprowadzić tak użyteczną i rozumną modę, jaką byłaby bez wątpienia moda kupowania wyrobów krajowych?

Spółka bazarowa dla przemysłu domowego nie powinnaby zresztą ograniczać się li tylko na samej sprzedaży nadsyłanych jej wyrobów, lecz działając w najszerszem pojęciu swojej misyi, mogłaby wygrzebywać włościański przemysł, gdzie on jest w uspieniu, jednoczyć i wspierać usiłowania prywatnych osób w tym celu podejmowane, i pośredniczyć w urządzaniu rękodzielniczych szkół fachowych.

Każdy, kto nie ma serca obojętnego dla ogólnego dobra, pragnąć musi, ażeby poruszony teraz pomysł utworzenia spółki bazarowej dla przemysłu domowego nie przebrzmiał marnem echem, lecz ażeby urzeczywistniony został sprężyście i racyonalnie.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W tych myślach wyjechał za bramę, a że kawał dobry miał do Studzienicy, na sobie zaś najlepsze ubranie, pomyślał więc o tem, gdzieby przywdziać kitel swój codzienny, w którym około gospodarstwa chodził. W miasteczku tego czynić nie chciał, bo trzeba było zajechać do gospody, i za postojne, choć krótkie, zapłacić, lub dać coś utargować. Przypomniał sobie, że na drodze do domu miał

właśnie karczemkę w lesie, do Mielsztyniec należącą, w której najprzyzwoiciej będzie pomyśleć o przebraniu. Nakazał więc woźnicy aby przed nią stanął, a sam nad niepowodzeniem swej wyprawy się zadumał.

Karczemka owa, zwana Wygódką, stała pośród starych dębów i sosen, nad samą drożyną, woźnica rad był w niej także dać koniom wytchnąć, sądząc że może pan przypomni sobie kazać mu dać kieliszek wódki. Konięta same się zatrzymały przed wrotami; wysiadł pan Nikodem, wynosząc zawiniątko swoje, siadł w cieniu drzew i zrzucał powoli zbyt kosztowne na pył i skwar ubranie.

Tylko co się był rozebrał, gdy podniósłszy głowę, postrzegł przed sobą stojącego ogromnego mężczyznę nieznajomego, który mu się z ciekawością, ale drwiąco, przypatrywał. Figura to była jakaś zakazana, ni pan, ni szlachcic, ni sługa, ni dworak, buta ogromna, wąsiska łokciowe, drab wielkiego wzrostu, kurta wyszarzana z węgierska, skórnie do kolan, pas juchtowy, a na sforze przy nim para chartów kosmatych wołoskich, chudych i rosłych jak on.

Wziął go zrazu Repeszko za łowczego jakiegoś pana, ale powtórnie spojrzawszy, przekonał się z twarzy, iż niczyim sługą być nie mógł. Z oczów mu strasznie dumą i zuchwalstwem patrzało. Nie młody, nie stary, niegdyś bardzo piękny, rysów twarzy wyrazistych i kształtnych, ów łowiec zdawał się zabawiać zapobiegliwym strojem pana Repeszki, patrzył nań wyzywająco i impertynencko. Znać się był wódki wprzód napił i chlebem a serem zakąsywał... Minę miał okrutnie szyderską, jakby sobie z całego żartował świata. Mimo to, widać nie było po nim dostatku; suknie mocno przechodzone, buty nieco oczyszczone, pas stary, czapka stara. Psy nawet nie były znać utrzymane w zbyt dobrem ścierwie, wyglądały kościsto i smutnie a drapieżnie.

Cierpiał z razu Repeszko, że mu się ten drab tak przypatrywał, ale widząc, że to temu końca nie będzie, odezwał się naostatek kwaśno:

— No, cóż tam ciekawego, żeby też pół kwandransu tak stać?...

— Hę! odparł nieznajomy, a cóż to cię zjem oczyma, szlachcicu kochany? Nie obawiaj się. Dopełniasz chwalebnego czynu oszczędności, znać wiesz co grosz wart; cieszę się więc, żeś człowiek taki porządny i... admiruję...

Repeszko tylko ramionami zżymnął i splunął.

— A zkąd Pan Bóg prowadzi? — spytał myśliwiec.

— Jam przecież tutejszy... raczejby mnie wypadło zapytać co waszmość za jeden?...

— Otóż i ja tutejszy, sąsiedzie szanowny, rzekł zajadając i stojąc ciągle nieznajomy. Teraz się już domyślam, że jesteś ów Repeszko czy Drapeszko, który z daleka tu zawędrował.

Powiedział to jakoś w tak obrażający sposób, że p. Nikodem się jeszcze bardziej pogniewał.

— A któż waćpan jesteś, jeżeli się zapytać wolno? — rzekł chmurny.

— Ja? ciekawyś? — zawołał zagadniony. — Jakto? czyżbyś nie słyszał o mnie, a słysząc nie domyślił z kim się spotkałeś?

— Ani wiem, ani znam, ani się domyślam, — rzekł p. Nikodem.

— Nikt ci nie wspomniał o Iwonie? hę? o Iwonie Życkim, zwanym pospolicie kasztelanicem?

Repeszko dopiero sobie przypomniał, iż o nim w istocie słyszał, ale skóra na nim ścierpła... Mówiono dziwnie o kasztelanicu, obawiano się go w sąsiedztwie jak ognia, głoszono za awanturnika chętnie szukającego zwady i nie przebaczającego nikomu. Wszystko co o Iwonie gadano, przyszło mu na myśl i Repeszko nagle spokorniał, zdjął czapkę, skłonił się i uśmiechnął.

— Daruje pan kasztelanic, rzekł cicho, nie miałem dotąd szczęścia, cieszę się bardzo, iż choć tu zaszczycam się...

Iwo się śmiał.

— No, no, nie pleć koszałek, opałek! zawołał, szczęście, zaszczyt! Nie wielkie to szczęście spotkać się ze mną... a zaszczyt też nie osobliwy... Ale kiedyśmy się zetknęli, to cię spytam... czyś jest myśliwym?

— Ja, osobiście... nie... odparł Repeszko.

— To dobrze, odparł Iwo, — boć oznajmiam, że w twoich lasach i na polach twoich polować będę...

Szlachcic zamilkł posępnie.

— Ponieważ myśliwym nie jesteś, to ci szkody nie zrobię.

— A zwierzyna? spytał z cicha Repeszko.

— Zwierzynę będę jadł, odparł Iwo, i waści jej dawać nie myślę, raz że na nią będę pracował, powtóre, że ty, słyszę, mięsa nie używasz i w tygodniu sześć dni jadasz z postem, a siódmego z suchotami.

— Wolno mi przecież uczynić uwagę, że kto nabywa majątek, ten ma w nim i własność zwierzyny. Słusznaby więc była...

— Kręcicielu stary, rozśmiał się Iwo. Miły ci spokój, to mi się nie sprzeciwiaj. Popytaj ludzi.

— Ale ja nie odmawiam bynajmniej miłemu i kochanemu sąsiadowi tej maleńkiej przysłużki, zawołał Repeszko, spojrzawszy z ukosa na bat pleciony, którym Iwo poklaskiwał niby od niechcenia. Spuszczam się na jego wspaniałomyślność, iż kiedy niekiedy kapnie mi co do kuchni... co się zaś tyczy skóreczek... gdyby Pan Bóg dał lisa, wilczka lub inne stworzenie... na te ja stawiam żelaza i zwykłem je sprzedawać...

— Ani mi się tego czynić waż! — odparł Iwo... — przestrzegam cię kochanie, polowanie w twoich lasach biorę w arendę...

— W kwocie? — spytał Repeszko żywo.

— A, skąpczysko stare! — przerwał Życki, jeszczebyś z tego chciał coś wyssać. Nie darmo nam cię tu tak odmalowano jako liczykrupę.

— Mnie! Chryste Jezu miłosierny! — krzyknął Repeszko, otóż to języki ludzkie i złośliwość! Miły Boże! Mnie, który przez całe życie poświęcam się dla ludzi, odejmując od ust sobie.

Iwo zaczął się śmiać.

— Paradny! — rzekł — ale wracajmy do arendy. Otóż umowa taka: będę polował, zabijał, plądrował, ale za to dopilnuję ci lasów i pierwszego złodzieja, którego w lesie spotkam, powieszę na dębie.

— Jezu miły! a zlituj że się! Nuż z tego proces wyniknie.

— Masz słuszność, dam mu sto batów, już mniej być nie może. Jak się ludzie dowiedzą, że ja ci lasu pilnuję, gałązka ci nie przepadnie.

— Zbytek łaski, — zawołał Repeszko, ośmielając się i chcąc rozmowę zakończyć, bo zawiniątko było gotowe, konie wypoczęte, a dłuższa rozmowa z panem kasztelanicem mogła być niebezpieczna, — zbytek łaski! Ale mnie pora do chaty.

— Czegoż ci tak pilno? żony i dzieci nie masz, kuferek dobrze zamknięty... pogawędzimy, winieneś mi odwiedziny, hę? zapraszam cię do siebie na wieczerzę.

Repeszko się zląkł, ale pomyślał, że to żarty, bo wiadomo było, że biedny, zrujnowany kasztelanic nikogo nie zapraszał i nie przyjmował.

— To istotnie zbytek łaski, rzekł, i... i... mógłbym zrobić ambaras.

— Żadnego, odparł Iwo, ja nikogo takiego nie proszę, coby mi z sobą kłopot przyniósł. Chudopachołek teraz, nie mam czem przyjmować, ale waść nie jesteś wymagający... czem chata bogata. Musisz jechać! Konia mego poprowadzi człowiek luzem, a ja z waszecią na bryczkę. Mała milka drogi, na prawo w gąszczę. Za godzinę będziemy.

To mówiąc, świsnął kasztelanic, psy oddał słudze staremu, który nadbiegł kulejąc, a sam, nim Repeszko się zebrał na podziękowanie i wymówki, siedział na bryczce i ręką wskazywał mu, aby się obok usadowił.

Z zawiniątkiem pod pachą rad nie rad p. Nikodem wdrapał się na bryczkę swoję, wzdychając. Przeczucia miał niepokojące, ale wymówić się sposobu nie było. Iwo popchnął woźnicę z kozła, odebrał mu lice i batóg i zawołał na konie po swojemu.

— Ja cię powiozę, zobaczysz tatuniu! koni swoich nie poznasz, tak pojdą w moich rękach. Hej! ha!

W istocie bryczka potoczyła się po wąwozistej drodze i wybojach, tak, że Repeszko ledwie się w niej mógł utrzymać, poleciwszy Bogu duszę...

Konie leciały cwałem, Iwo śmiejąc się poganiał. (C. d. n.)

SPRAWA POLSKO-PRUSKA

NA SOBORZE KONSTANCYEŃSKIM,

przez

M. Kanteckiego.

(Ciąg dalszy).

Rozprawa Pawła tak, jak jest wydrukowana u Hardta (l. c.), i jak ją znalazłem we lwowskim manuskrypcie, dzieli się na trzy rozdziały (capita). Pierwszy nosi tytuł: „O prawie chrześcijan do ziem pogan“ (de jure christianorum in terras infidelium). Treść jego następująca: „Błędnem jest mniemanie, jakoby ręce niewiernych nie mogły dzierżyć władzy, i jakoby poganie do zamieszkiwanych przez siebie ziem najmniejszego nie mieli prawa. Większa część uczonych idzie w tym względzie za Innocentym, który wręcz przeciwnego jest zdania. Sprawa ta może się stać tak płodną w groźne następstwa, że sobór koniecznie uwagę swą na nią zwrócić i rozświecić

ją winien. Toż owego błędnego mniemania trzymali się Krzyżacy, gromiąc bez litości pogańskich Prusaków. Autor zaręcza, że występuje przeciw temu bezprawiu nietylko jako poseł polskiego króla, lecz i jako doktor; poddaje się on pokornie temu, co sobór w tym względzie uzna za stosowne orzec, a zastrzegając się, iż nie występuje w zamiarze ubliżenia komukolwiek, odwołuje już naprzód wszystko, coby się nauce kościoła sprzeciwiać mogło."

Rozdział drugi nosi tytuł: De ordinis theutonici in Prussia, vel Cruciferorum machinis ac praetextu, sub nomine religionis quasvis regiones sibi subjugandi. Opowiada tutaj Włodzimirzowic po krótce historyą Krzyżaków: jak wezwani na pomoc przez Polskę podbijają ziemie pruskie, jak walczą i przeciwko tym poganom, którzy im najmniejszej do wojny nie dali okazyi, jak ściągają zbrojne hufce z całej chrześcijańskiej Europy i rok rocznie dwa razy w dzień oczyszczenia i wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny napadają sąsiednich pogańskich Litwinów. Nie pomogło tym nieszczęśliwym, że przyjęli chrzest z rąk Polski; Krzyżacy, którym nigdy o krzewienie wiary, lecz zawsze tylko o rozszerzanie własnego panowania chodziło, uderzają na nich ze zdwojoną wściekłością. Rozdział ten kończy się opisem klęski pod Tannenbergiem. Pięknym jest ustęp ostatni: „Ordinatis itaque aciebus utrinque conveniunt ad bellandum, sternitur ab alto potentia ordinis, campus heu humanis repletur cadaveribus et Polonorum gladius Cruciferorum sanguine saturatur.

Rozdział trzeci i ostatni: Christianos non habere jus sub specie religionis propagandae infidelium regiones invadendi; neque indulgentia vel litteris aut privilegiis Caesarum et Pontificum Cruciferis datis hoc jus acquiri. W rozdziale tym stawia autor 52, jak je sam nazywa, konkluzye, na temat podany w tytule, z których kilka pozwolę sobie przytoczyć tutaj w polskim przekładzie:

I. Konkluzya: Chociaż poganie nie są z owczarni Kościoła, są jednakże wszyscy owieczkami Chrystusa. Jan X. I inne jeszcze mam owieczki, które nie są z tej owczarni. to jest z owczarni kościoła.

II. Słowa do Piotra wyrzeczone bożym głosem: „paś owieczki moje", odnosić trzeba do wszystkich owieczek, wiernych i niewiernych, bez różnicy. Ztąd też winien następca św. Piotra starać się nietylko o wyżywienie ich, ale i o obronę A o których z bożego rozporządzenia ma mieć staranie, przeciwko tym walczyć nie powinien, ani dopuścić ich szkody, bez odpowiedniej przyczyny Bo nie powinny ztamtąd wychodzić bezprawia, gdzie prawo ma swoje źródło.

III. Chrześcijańskim książętom nie wolno Żydów i innych pogan wypędzać z ziem, ani łupić bez prawnego powodu. Bo prawa zakazują zaczepiać ich, gdy w pokoju żywot pędzić pragną.

XVII. Pogan do przyjęcia wiary zmuszać nie podobna, lecz trzeba to raczej własnej ich pozostawić woli i chęci, bo tylko łaska boża jak opiewają kanony, może być w tym względzie czynną. Może jednakże papież nakazać poganom, aby dopuścili głoszenia ewangelii w swych ziemiach. Wszelkie bowiem stworzenie na to jest, aby chwaliło Boga, jako powiedziano w drugiej księdze przypowieści. Jeżeli więc przeszkadzają głoszeniu słowa bożego, grzeszą, a w takim razie słusznie karę ponieść mogą.

XXXII. Nie wolno niewiernych mieczem i uciskiem do chrześcijańskiej napędzać wiary, bo sposób ten bardzo bliski bezprawia. Cel zaś nie uświęca środków (Non sunt facienda mala, ut eveniant bona). A kanon mówi: Nowe zaiste i niesłyszane jest ono głoszenie bożego słowa, które batogiem do wiary napędza". *)

10. sierpnia 1415 r. wysłał Jagiełło do Konstancyi zażalenie na Krzyżaków. W obszernej tej skardze, napisanej z wielką siłą, w ostrych słowach wyrzuca Jagiełło Krzyżakom, że nie postępują bynajmniej tak, jakby przystało chrześcijańskim wojownikom, i że nie krzewienie wiary, lecz rozszerzanie granic swego państwa jedynie mają na celu. „Twierdzą kłamliwie Krzyżacy" (pisze Jagiełło), „że nie staramy się o propagandę nauki Chrystusowej, i że nowo przez nas ochrzczeni dawnych trzymają się błędów. Gdyby Krzyżacy byli rzeczywiście tak gorącymi krzewicielami tej nauki, za jakich wszędzie i zawsze się głoszą, czyż nie powinni byli, jeśli w rzeczy samej coś podobnego spostrzegli, wprzódy nas, wobec świadków, napomnieć? Dopiero gdyby to nie pomogło, wolnoby im było oskarżyć nas przed władzą kościelną. Wżdy oni opacznego imając się porządku, od końca zaczęli i rzucają na nas zjadliwe potwarze. Jak kłamliwe są rozsiewane przez nich i zwolenników ich wieści, snadnie przekonać się może ten, kto do Litwy na miejsce wydarzeń zjedzie. Krzyżacy żdźbło w naszem upatrują oku, belki we własnej nie widzą źrenicy. Wszakżeż pięć lat byli panami Żmudzi — czyż przez ten cały czas rozkrzewianie wiary kiedykolwiek leżało im na sercu?" **)

Wspomniałem już na samym początku niniejszego opowiadania, że jednym z powodów, które skłoniły Zygmunta do energicznego zajęcia się zwołaniem soboru, było także niebezpieczeństwo, grożące niemieckiemu państwu, a przedewszystkiem Węgrom, ze strony Turków. Właśnie w czasie, którego wypadki zajmują teraz naszą uwagę, w lipcu 1415 r. zebrali się, jak opowiada Długosz (XI. 167) panowie węgierscy z własnego jedynie popędu, bez zaciągnięcia obcych posiłków, i wyprawili się zbrojno przeciw Turkom. Wyruszył na ich spotkanie z wielką siłą sułtan Mahomet, pobił ich na głowę, a zabrawszy wielu magnatów w niewolę, ogromne w Węgrzech sprawił spustoszenie, aż po ziemię cyllejską zapuszczając swe zagony. Klęska ta w zgromadzonych na soborze wywołała wielką trwogę. 16 sierpnia 1415 r. wysłano do króla Władysława pismo błagające, aby ulitował się nieszczęść przygniatających Węgry i za uciśnionymi ująć się raczył. [1])

Na list soboru odpowiedział Jagiełło pismem z dnia 8 października tegoż roku. Naprzód w długim wstępie wychwala król gorliwość soboru, który mimo tylu przeciwności tak energicznie zajmuje się przywróceniem dawnej jedności i pokoju w kościele. Przypomina zgromadzeniu swoje starania o połączenie schizmatyckich swych poddanych z kościołem katolicko-rzymskim i prosi o poparcie w tem nader trudnem zadaniu.[2]) Na samą prośbę o ujęcie się za Węgrami, odpowiada Jagiełło, że zbrojnie wprawdzie wystąpić teraz nie może, ale że nie omieszka wysłać do sułtana poselstwa, które stanowczo zażąda, by walki przeciw cesarskim poddanym zaprzestał. [3]) „W końcu listu uniewinnia się Jagiełło wobec potwarzy, któremi niegodni oszczercy śmią plamić jego dobrą sławę, przypisując jego przyczynieniu się i woli klęskę węgierskich magnatów. [4]) (C. d. n.)

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA".

(Ciąg dalszy.)

Pan Paweł, zwany w burzliwej przeszłości białym Pawełkiem, przy tylu nieocenionych przymiotach, przy takiej ruchliwości, przynoszącej zaszczyt młodemu Krakowowi, musiał nieustannie walczyć z biedą. Wprawdzie, stryj jego Anzelm przysyłał mu dwadzieścia rubli miesięcznie, ale,

---

*) Prof. Caro mówi o Pawle: „Unserer Schriftsteller fühlt, dass sein Satz allem, was im Verlaufe der Jahrhunderte zur Ausbreitung der Lehre Christi geschehen ist, den Kreuzzügen ins heilige Land, den Kämpfen gegen die Moriscos in Spanien gegenüber steht. Odpowiem na to, że wojny Krzyżaków przeciwko pogańskim Prusakom i Litwinom, a wyprawy krzyżowe do ziemi świętej, i wojny przeciwko Maurom w Hiszpanii: to rzeczy zupełnie odmienne. Tu walczą chrześcijanie przeciwko najezdzcom, tam bez przyczyny tępią ludy, własnych jedynie broniące śmieci. Zresztą Paweł w XVII konkluzyi, którą przytoczyłem, powiada wyraźnie, że są wypadki, w których poganie słusznej podlegają karze.

**) Co do daty tej skargi publicznej, wydrukowanej u Hardta III P II 6—8, idę za konjekturą prof. Caro (III. 452. 2 uw). który słowa anno etc. nono uważa za skrócone anno regni nostri vigesimo nono. Jagiełło wstąpił na tron Polski r. 1386, sobór konstancyeński trwał od 1414—18, a wtedy tylko wypadnie jako ostatnia liczba „dziewięć", jeżeli od 1415 odciągniemy 1386. Zauważyć jednakże winienem, że Caro pomylił się co do dnia, w którym powyższa skarga przedłożoną została soborowi. 28 listopada bowiem odczytano nie rzeczoną skargę, lecz odpowiedź Jagiełły na prośbę zgromadzenia, aby podniósł oręż przeciwko Turkom w obronie uciśnionych Węgrów. Również mylnem jest zdanie, jakoby razem z posłami, wiozącymi skargę, przybyli do Konstancyi Żmudzini, bo widzimy przybywających ich tam również dopiero 28. listopada. Kiedy skarga Jagiełły doszła zebranych ojców, nie wiadomo; w każdym razie nastąpiło to w ostatnich dniach września, albo pierwszych października.

[1]) Dogiel: Codex Diplomaticus Poloniae etc. I. 50. Datum Constantiae die 16 Augusti 1415. Sacrosancta Constantiensis Synodus universalem Dei ecclesiam repraesentans, in spiritu Sancto legitime congregata Excellenti et glorioso principi Dom. Vlad. Regi Poloniae Illustri pacem in Eo, per quem reges regnant et ipsis Regibus dat salutem. Odnośne miejsce brzmi: velitis audacter profide contra subversores ejusdem, tanquam Judas Machabeus pro legibus paternis accinctus potentissime consurgere ferseque sine novae dispendio Regiet Regno saepedictio salutis succursum, praedictorum hostium saevitiam dextera vestrae potentiae repellendo.

[2]) Usiłowania Jagiełły w tym względzie nie osiągnęły pożądanego skutku. Biskupi schizmatyccy, przybyli do Konstancyi, oświadczyli stanowczo, że nie pragną się połączyć z rzymskim kościołem.

[3]) attento eo, quod propriarum guerrarum insidiis et incommodis nos, regnum et terras nostras gravissime urguentibus, modus haberi non potuit, quo exercitus nostros contra insultus Turcorum praedictorum sine detrimento proprio potuissemus ita celeriter conducere.

[4]) Jan Posilge str. 353: dese bose tot und schade, der der cristinheit geschach, wart sere zugegeben dem konyge von Polen und synen heyden, dy dy Torkin dorzen hildin und sterctin mit hulfe und rate...

(Kronikę Jana Posilge cytuję w znakomitem wydaniu dr. Ernesta Strehlkego, Scriptores rerum prussicarum, tom trzeci.)

*

że to był Litwin starego autoramentu, coś w rodzaju budrysa karmiącego się boćwiną, przeto na wszelkie dodatkowe listy, wzywające gwałtownej pomocy, z zasady nie odpowiadał. Wyjątkowo, sposobem pożyczki, przysłał mu na koszta egzaminów dwieście rubli, ale jakby na nieszczęście pana Pawła, urządzono wtedy na cel dobroczynny żywe obrazy w Krakowie. Przyjąć udział w tem przedstawieniu, sprawić sobie kostium „Pana Tadeusza,“ i kazać się w trzech odmiennych pozycyach odfotografować w tym stroju, było dziełem jednej chwili namysłu. Śliczneż bo ślicznie wyglądał na scenie pan Paweł, pokręcając wąsa lewą ręką, gdy prawą trzymał na temblaku; piękne panie o mało sobie oczów nie wypatrzyły, pożerając wzrokiem tak dziarskiego ułana, ale okoliczność ta zdecydowała poznajomienie się z panem Goldfeldem, wekslarzem z krakowskiego rynku.

— No, gdzie podpisać? gdzie? — pytał prostując przed sobą stemplowany blankiet wekslowy — lubił albowiem pasyami podpisywać swoje nazwisko z różnemi figlasami.

— Niech pan Pawelek tak się nie spieszy! — hamuje go Goldfeld, przykrywając ręką blankiet. — Ten papier więcej wart, jak nie ma pański podpis...

— A to dlaczego?

— Ny, teraz za niego każden da trzydzieści centów, a jak pan podpisze, to i tego nie będzie...

— Co myślisz, że ja nie oddam? Słowo honoru, stryj mi przyszle, napisałem do niego tak, że choćby miał serce z kamienia...

— Niech on ma i z piernika, to mi wszystko jedno; tymczasem niech tu wprzód podpisze ten pańskie kolega, Koszulka...

— Koszulko — poprawia Paweł.

— Ny ten, co jego ojciec jest obiwatel od Przemyśl...

Jakoż kolega Koszulko bez żadnych ceremonii, po przyjacielsku, podpisał.

— No, a teraz gdzie ja?

— Niech pan pisze tak napoprzek „angenommen Paweł Pruszkiewicz.“

— Jakto ci kupcy — mówi podpisując Pawełek — są ludzie z gustem. Nie dość, że dają pieniądze, ale jeszcze każą pisać, że to jest przyjemnie, — mają racyę, to jest bardzo przyjemnie.

Nie tęgi w niemczyźnie nasz bohater, *angenommen* i *angenehmen*, brał za jedno, co jednak wyliczając gotówkę, wytłomaczył mu Goldfeld.

Pan Goldfeld od najdawniejszych czasów był jeneralnym dostawcą pieniędzy panom medykom; wiedział tedy bardzo dobrze, z jakiego przedmiotu najczęściej oni spadają, znał profesorów, ich zwyczaje przy egzaminach, a wszystko to interesowało go daleko żywiej, niż samych kandydatów.

— A od tego profesor od chirurgie, co kraje nóg i rąk, umie pan Pawełek? — pyta, zapalając cygaro.

— Teraz nie zdaję z chirurgii.

— A dlaczego mi pan przed wekslem tego nie powiedział? Jak u pana Brück się przepada, to i mój pieniądz przepada. A od pane Tejchman już?

— Właśnie zasiadam teraz...

— Awa! — krzyknie przelękniony wekslarz zrywając się z krzesła, i wyjmując z pośpiechem podpisany weksel. — Oddaj panie Pawelek mój pieniądz!... ja nie chcę taki geszeft... ja rachował tylko pięć procentów (na miesiąc), ja miszlał co pan będzie zaraz doktór... a te anatomije... a te anatomije...

— Cóż tu ma pan Tejchman i anatomia?

— A niech im diabli wezmą, ile ja na nich już stracił! Pan wie, ten Skórowski, spadł, Keller spadł, Sobieraj spadł... a moje weksle także spadł...

— Dlaczego?

— Jakto dlaczego? — mówi gestykulując żywo Goldfeld — jak oni przepadli, to oni nie doktor, a jak nie doktor to nie ma praktyk, a jak nie ma praktyk — to nie ma nawet na procentów.

— Bądź spokojny, panie Goldfeld, ja nie spadnę...

— Niech pan Pawelek pamięta, bo jak będzie spadnąć, to ja na poprawki nie dam i weksel będzie protestować u pana notaryusz... Awa ten anatomia, ten anatomia — dokończył drapiąc się w głowę przy wyjściu z pokoju.

Ogromna też była bieda, gdy lichwiarz, oczekując przed bramą gmachu uniwersyteckiego, z miny Pawełka już się domyślił upadku z anatomii. Do samego mieszkania prowadził nieszczęśliwego delikwenta, i kładł mu w głowę prawdziwie ojcowskie morały, i gniewał się i wymyślał na dzisiejszą młodzież i na te szesnaście tysięcy nazwisk łacińskich.

— Mówię ci, panie Goldfeld, o głupstwo poszło: nie mogłem znaleźć nerwu od zęba dolnej szczęki — ot patrzaj... tego. Diabliż go wiedzieli, że on się tam skręca gdzieś koło nosa; powiedz sam, czybyś się domyślił, że on idzie tu, tu do jamy ocznej.. Wszystko inne umiałem, słowo honoru, umiałem... ale on ani chciał pytać dalej...

— Ja pójdę do tego Teichman, co on miszli, ja jemu powiem!

— Czyś zwaryował?..

— Na co on mię gubi już tyle razy...

Ledwie wytłómaczył Pawełek niestosowność tej interwencyi wzburzonemu Goldfeldowi, któremu już nic innego nie pozostawało, jak wziąć w dalszą opiekę Pawełka, i pchać go dopóty, dopóki za trzeciem zasiadaniem nie został procentującą osobą, czyli — doktorem.

Od tej chwili lichwiarz był przekonany, że zaczną się żniwa; szanowny opiekun stał się u niego codziennym gościem, i usiadł mu na karku gorzej, niż ongi Egipcyanie na karkach protoplastów pana Goldfelda. Co kilka dni przypadały termina wekslowe, więc zamieniano, przepisywano, doliczając procenta, aż wreszcie z dniem osiedlenia się przy Sławkowskiej ulicy, sformowała się okrągła suma trzy tysiące guldenów.

Tymczasem od tygodnia, w miejscowym dzienniku, szły co drugi dzień ogłoszenia, że taki to a taki doktor osiadł przy Sławkowskiej ulicy, i że między trzecią a piątą po południu udziela bezpłatne konsultacye ubogim chorym. Ale poradź że tu co z nieoświeconym krakowskim ludkiem? Nikt, ale to literalnie ani jedna żywa dusza nie zajrzała przez pierwsze trzy dni z rzędu. Pan Paweł, jak to mówią, kamieniem siedział te dwie godziny w domu, wstrzymując się całemi siłami od poobiedniej drzymki, lecz, gdy się przekonał, że ofiara ta nie idzie na pożytek bliźnim, a jemu zdrowie odbiera, czwartego dnia zdrzymnął się w fotelu, w nadziei, że w razie potrzeby dzwonek zbudzić go potrafi, — piątego zaś położył się na sofie już wygodniej, i odtąd przez cały miesiąc w ten sposób zużytkował swój talent medyczny na usługi cierpiącej ludzkości.

Mniejsza już o konsultacye, ale dziwną zaiste była obojętność Krakowa, żeby też nawet nie zobaczyć nowo urządzonego gabinetu pana doktora. Pan Paweł przecież miał gust i spryt nie lada, jeżeli z niczego potrafił zapełnić pokój podług dzisiejszych wymagań cywilizacyjno-medycznych. Nie mówię już o meblach wziętych na kredyt, ale co się tyczy rozmaitych narzędzi, te z przerażającym cynizmem patrzały przez szkła szafy na pokój.

Było tam wszystko, co tylko potrzebne do cięcia, krajania, świdrowania i piłowania; była machina elektryczna, machina jak piec, do próbowania siły płuc, pod kloszem mikroskop, na oknie rząd rurek z odczynnikami, a na biórku gruba paczka drukowanych papierków, przeznaczonych na recepty. Miseczka ze złotym piaskiem stała obok trąbki auskultacyjnej, a rozrzucone po wszystkich stołach broszury medyczne w różnych europejskich językach, wskazywały, że pan Paweł czyta, nie ograniczając się na kuracyi przepisanej w kalendarzu lekarskim na rok bieżący.

Nareszcie zdarzyła się sposobność panu Pawłowi do okazania swojej zręczności chirurgicznej. Sześcioletni Wicuś, syn miejscowego szewca, wpakował sobie ziarno grochu do nosa. Nasz eskulap z niekłamanym zapałem wziął się do ratunku, i rozkrwawiwszy dobrze nos chłopaka, po półgodzinnej ciężkiej pracy, wśród podziwu tuzina kumoszek, szczęśliwie dokonał operacyi.

— Widzi pani Mateuszowa — perorowała przekupka w sieni domu, od której Paweł kupował bułki — żeby nie nasz doktor, jużby ten groch wypuścił jutro korzenie do mózgu Wicusia, a z nosa toby mu codzień wyrastał taki groch, jak w polu..

— Eh, gdzieby tam...

— Co mi kuma gadasz — ofuknie przekupka — jak Pana Boga kocham, takby wam rósł i mógłby kwitnąć, żeby go nie zrywać...

Jednakże tą operacyą nadzwyczaj był uszczęśliwiony Pawełek, i z wielkim zapałem rozpowiadał wszystkim kolegom, jakie to niebezpieczeństwo groziło Wicusiowi, gdyby nie zażądano jego pomocy; nawet przy wolnym czasie, miał zamiar napisać rozprawę o tym wypadku, dla odczytania w gronie Towarzystwa lekarskiego. Innego jednak zdania był Goldfeld.

— Wielkie rzecz groch z nosa — mówi machając pogardliwie ręką — ja mojemu Szachne już dwa razy wyjmował takie groch... wsadzić jemu niuch tabaki w nos, to on będzie kichnąć i groch wyleci... Ny, a co będzie z procentem?

— Nic nie będzie... przecież się odda... nie bój się. Wczoraj trzeci raz napisałem do stryja na Litwę... ale mówię ci napisałem mu tak, że go diabli wezmą...

— A jak nie przyszle?

— Nie przyszle — powtarza zamyślony doktor — hm... pojadę do Serbii.

— Jakto pojadę! — krzyknie Goldfeld — tam gdzie strzelają z kanonów?

— Naturalnie, niech raz u diabła zabiją człowieka i wszystko się skończy.

— Co pan Pawełek sobie miszli! A moje dług?

— Dobrze, dobrze, nie chcesz żebym jechał gdzie kanonów, to będę siedział w Krakowie, może przecie przyjdzie jaka cholera, albo co...

— Co to jest? — krzyczy jeszcze więcej przestraszony lichwiarz — jak pan może o tą-

kiem nieszczęście mówić... niech Bóg broni od takich chorób... Mnie troje dzieci umarło na ten chorób... nie chcę nawet mówić, jak ten chorób się nazywa...

— Więc cóż ci zrobię — rzecze zniecierpliwiony Pawełek. — I to nie, i to nie... chyba, że napiszę powieść... a mam w głowie śliczny planik. Uważasz, panie Goldfeld, nad brzegami Niemnu mieszka Prusak i handluje drzewem: ma śliczną córkę, Karolinę...

— Na co panu szukać tak daleko Karolinę, i to u handlarza drzewem? teraz drzewem jest kiepski geszeft... niech pan koło Krakowa poszuka jakie bogate... albo i w mieszcie mało jest? Żeby pan był żyd, to jabym jemu nastręczył takie kobietę... nasze panny ze Stradom przepadają za doktor...

— Kiedy widzisz, panie Goldfeld, tu nie idzie o żonę dla mnie, ale dla mojego bohatera z powieści...

— Co pan będzie dla drugich szukać żon, niech pan lepiej dla siebie znajdzie, coby miała posag i mój dług zapłacić! U te polskie pany, to zawsze dla przyjaciel, dla sąsiada, dla bohater jaki, a nie dla siebie. Panie Pawełek, panie Pawełek, niech pan ma *litoszcz* dla Goldfeld. Te wszystkie jego przyjaciół jest bardzo grzeczne, i ten pan Tadeusz, od notaryusza, jest bardzo grzeczne, a jak pieniądze dać — to daje żyd...

Pan Goldfeld, który nigdy w życiu nie czytał powieści, w żaden sposób nie mógł zrozumieć o co idzie Pawełkowi, lecz przyczepił się do tej myśli ożenienia, i na niej budował już pewny odbiór swej należności.

Tonący, jak powiadają, i brzytwy się chwyta, — otóż myśl ożenienia stała się tą brzytwą dla naszego bohatera. W przystępie desperacyi, w braku pacyentów, powiedział sobie: „A dokądże ja to u milion diabłów będę taką biedę klepał! Pracowało się i pracuje tyle lat, zdobyło się stanowisko i naukę — no, a z tego nic. Hola panie losie, weźmiemy cię za rogi... muszę sobie wytrzasnąć jaką dulcynęę, ale z groszem, tylko z groszem!“

Jeżeli mu się całe życie nie wiodło, to co się tyczy małżeństwa, samo szczęście lazło mu w rękę, w postaci listu cioci Kuliczkiewiczowej, który mu na drugi dzień z rana doręczył listonosz.

Chwała Panu Bogu, widzicie czytelnicy, żeśmy przecie doszli do naszych dam z Litwy... no, teraz będzie lżej; jesteśmy na głównym gościńcu powieści. List ten datowany był z Częstochowy:

„Kochany mój Pawełku!

„Nie piszę ci wiele, bo zapewne jutro będziesz nas miał w Krakowie. Jedziemy z Joasią i Ludką do wód za granicę, choć dzięki Bogu jesteśmy zdrowe. Twój stryj Anzelm wyprawił nas umyślnie w te strony, żebyś poznał Ludkę; bo cóż ci będę w bawełnę obwijać, jest ładna i bardzo dobra dziewczyna, a stryj sobie życzy, pamiętaj, stary mi to powiedział.

„Nie wydaj mię też Pawełku, ale ci muszę napisać pod sekretem, że ta Ludka jest wielki filut, i słyszę, umawiała się z Joasią, że pójdą do ciebie na naradę, niby do doktora, aby cię wprzód poznać i wybadać. Pamiętaj też, mój drogi Pawełku, mieć się na baczności, bo one z pewnością przyjdą. Ludki może nie poznasz, jak wyjeżdżałeś od nas, miała lat ośm, więc uważaj na kapelusz z czerwonem piórkiem, to będzie ona...“

— Dalibóg nie rozumiem co ta starowina pisze... nic nie rozumiem... Jadą z Ludką i tą drugą... stryj sobie życzy... kto ta Ludka? formalnie nic nie wiem... A jednakże coś w tem musi być? Chcą przyjść niby na poradę — dobrze niech przychodzą... z czerwonem piórem... — niech będzie i z czerwonem piórem..

(C. d. n.)

BOHDAN ZALESKI

wobec dziejów liryki polskiej.

Studyum A. G. Bema.

(Ciąg dalszy)

W jesieni 1835 r. wydaliwszy się bracia Zalescy nad Ren, spędzili dwa następne lata na podróży po Francyi i Włoszech. Z tego czasu posiadamy między innemi dwie pieśni („Mdła cisza“ i „Nieskończoność“), pisane na morzu Śródziemnem 5go i 9go października 1837 r., w których zachwyca się, korzy i modli duch pokrewny duchowi Adama w „Dziadach.“ Osiedli wreszcie Zalescy około 1838 r. w Endoume pod Marsylią nad samem morzem. „W Endoume (powiada Bohdan) dużo dumałem i wierszowałem. Owocem tego rozśpiewania się na pustyni był spory zwitek rytmów, który żywnie pragnąłem co najrychlej przeczytać Adamowi, Adamowi najpierwszemu. Jakoż... wróciliśmy z Józefem pod Paryż do Sevres*). Jak dawniej tak i teraz odwiedzaliśmy się nawzajem i niemal codziennie. Adamowi spodobały się nowe pieśni moje — i rozgrzały go do tego stopnia, że wiele z nich wyuczył się na pamięć od deski do deski. Odtąd ciemiężył mię co dosłownie o druk moich poezyi...“ Wcześniej już nieco, bo 1837 ukazał się we Lwowie pierwszy zbiór porozrzucanych dotąd po czasopismach i noworocznikach poezyi Bohdana**). Bezpośredniem, choć nie nagłem faktu tego następstwem były zapewne niezbyt głaszczące miłość osobistą wieszcza krytyki, co znów pociągnąć musiało za sobą nadmierne tego ostatniego żale, żale tem szczersze, iż spółcześnie prawie dotknął go był cios z powodu nieszczęść spadłych w Ukrainie na rodzinę Zaleskich. Okoliczność tę wyjaśniają ustępy z listów Mickiewicza do Domejki w Coquimbo (z dnia 8go stycznia 1839 r.) oraz do Bohdana w Fontainebleau z dnia 8go maja t. r. W ostatnim jest mowa o jakichś broszurach sztrasburskich, które sobie Zaleski „zanadto brał do serca;“ Mickiewicz zaś i Goszczyński rozmawiając ze sobą o tem, „trochę sobie żartowali, jako *głębocy politycy*, że Bohdan taki vates irritabilis.“ „Mnie lżej teraz, dodaje M. konkludując, kiedy mię łają za katolicyzm, niż wtedy, kiedy mię chwalono za *szurum burum*, z którego nic dobrego(?) nie wyniknęło. Gdybym był teraz w takim sztosie pisania jak ty, to by mi go na chwilę nie popsuły broszury całego świata.“ Od sierpnia już 1838 r. M. w listach swoich niepokoi ustawicznie Zaleskiego projektami drugiego wydania jego utworów, zgoła nic nie wspominając o pierwszem. Prawdopodobnie nawet sam w Paryżu miał się tem zająć, ale ociąganie się stepowego lirnika, a następnie osobiste sprawy Adama, którego właśnie powołano na katedrę literatury rzymskiej do Lozanny, przeszkodziły zamiarowi. Ten orzeł jednak ciągłą nad słowikiem rozpościerał opiekę; bo jeśli wierzyć mamy jego własnym słowom, sądził w sposób mistyczny, iż obaj z Bohdanem „jednego mają ducha“ i dla tego „w jednym czasie nie mogą być poetami na ziemi.“ W liście adresowanym do Endoume wspomina Mickiewicz z ironią o naśladowcach naszego arcygęślarza w Tygodniku petersburskim, dodając, że wartoby było „tych pisarków z ukraińskiego konia zsadzić.“ Pod datą 13go czerwca 1839 r. w liście do Domejki czytamy: czekaj na poezye Zaleskiego, które za kilka miesięcy z druku może wyjdą; będziesz miał na wiele miesięcy *najmilsze czytanie.*“ Natomiast z Lausanne pod d. 29go listopada pisze poeta - profesor do Bohdana:

„Nie uwierzysz, jak czasem gniewam się, żeś dotąd nic nie ogłosił, jak doskonale czuję tego potrzebę szczególniej dla Poznańczyków. Dobry to znak, że oni w tobie zasmakowali i że cię arcymistrzem zowią, bo nic nie masz bardziej antybierlińskiego, jak twoja muza... Nie prędko będę mógł spotkać się z tobą na lutni. Śpiewaj tymczasem za nas, mój słowiku. Jeśliby Józef co twego dla mnie skopiował, bardzo by mi wielką łaskę zrobił.“

Jakoż w początkach stycznia 1840 r. przysłał Bohdan Mickiewiczowi do Lozanny parę piosenek, a między innemi i wiośniankę „w spółce ze słowikiem,“ którą ten ostatni „Bied - biedą“ nazywa. „Bied-bieda,“ przegrywka (pisze Adam) wyśmienicie wykoncypowana i żebym teraz wiersze pisał, tobym ci konceptu zazdrościł. Nieraz ją sobie śpiewam i mam zamiar kiedyś do niej muzykę zrobić...“ Nieco dalej, w tymże liście, mówiąc o zamierzonem wydawnictwie „dum i dumek,“ wskazuje sposób przesłania rękopismu i powiada: „Raczyńskiemu (hr. Raczyńskiemu, który we dwa lata później wydał w 2 tomach „dumy i dumki“ w Poznaniu) ja już dobrze wytłumaczyłem, *że tu idzie o sposób do życia...* i że trzeba pilnować, aby egzemplarzy na stronę nie sprzedawano... Nic do mnie nie napisałeś o waszej rodzinie. Jak tam im dzieje się w kraju?“ Do ostatecznego jednakże załatwienia stosunku między Raczyńskim a niepochopnym do publikowania utworów swych poetą, tym razem nie przyszło. Z listu natomiast Adama, pisanego w kilka miesięcy później, dowiadujemy się, że Bohdan, dla odparcia czy złagodzenia doznanego przed rokiem ciosu krytyki, postanowił wydać w Strasburgu „Wyprawę Zbaraską.“ Mickiewicz gorąco mu ten krok odradza, przypominając, że nie jest i nie będzie poetą wędrownej spółziomków drużyny, że ma pisać „dla narodu.“ Między 2gim lipca a 4ym września 1840 r. bracia Zalescy, zaproszeni przez Adama do Lausanne, gościli przeszło miesiąc w nadlemańskim jego „pałacu“ i wraz z nim „odbyli pieszo podróż na górę Montblanc i po okolicach szwajcarskich.“ W kilka miesięcy później (25go grudnia*) Adam

*) Mogło to nastąpić w końcu sierpnia lub na początku września 1838 r.

**) Drugie wydanie utworów Zaleskiego nastąpiło w Paryżu 1841 (I tom), trzecie w Poznaniu, 2 tomy, 1845 r., czwarte we Lwowie 1845. Osobno wyszedł „Duch od stepu“ w Lipsku 1847 r. i tamże w Bibliotece pis. pol. r. 1862. Pełniejsze (piąte) wydanie ukazało się w Petersburgu r. 1851; wreszcie „Wieszcze Oratoryum w dumach i dumkach“ (poświęcone żonie z r. 1864) w Poznaniu 1866, tom I. Obecnie księgarnia wydawnicza Gubrynowicza i Schmidta przygotowuje zupełne wydanie utworów poety.

*) Z dnia tego mamy dwa listy. W drugim z nich dziękuje Adam braciom Zaleskim za wiązanie, którem był (jak objaśnia dopisek) „garnek rydzów z lasów fonteneblowskich;“ wspomniawszy zaś o tem, że poprzedzającego dnia na wieczerzy u Januszkiewicza, wyzwany przez Słowackiego, odpowiedział natchnioną improwizacyą

odbywszy już „pierwszą próbę,“ jako profesor literatury słowiańskiej w kolegium francuskiem, prosi Bohdana o pieśni serbskie i ich tłumaczenie, jeśli ma jakie. Owocem tej prośby stał się z czasem tomik prześlicznych serbskiej muzy ludowej przekładów, które śmiało dzisiaj ze wszystkiemi podobnymi spółzawodniczyć mogą. Pomieszczone w zbiorze 4 listy Mickiewicza do Bohdana z r. 1841 nie wiele danych do biografii naszego wieszcza dostarczają. Mogą nam tylko służyć za dowód, że Zalescy zmieniali często miejsce pobytu. Adam podróżowanie ich *czumactwem* nazywa, robiąc tym sposobem aluzyę do niezacierającego się pod francuskiem niebem pątniczego charakteru braci ukraińców. W liście z dnia 15. sierpnia 1841 r., rozpromieniony autor „Dziadów“ zaprasza Bohdana do Paryża na świetną, społeczno-narodową uroczystość *połączenia emigracyi*: „Słowiczku mój! a leć, a piej, na pożegnanie piej, wylanym łzom, spełnionym snom, skończonej piosnce twej. Słowiczku mój, twe piórka zzuj, sokole skrzydła weź i w ostrzu szpon złoto-stron Dawidzki hymn tu nieś! Bo wyszedł głos i padł już los, i tajne brzemię lat wydało płód, i stał się cud, i rozraduje świat!“

Następne dwa listy (z Nanterre 13go września i z Paryża 5go października) noszą na sobie na pół-oficyalny charakter, dowodząc poniekąd czasowego oziębienia serdecznych między poetami stosunków. I nic dziwnego. Była to chwila, w której bałamutne, religijno-socyalne teorye Towiańskiego poczęły wnikać w przygotowany odpowiednio umysł orła wieszczej naszej drużyny. Mimo, że korespondencya dalej trwała, drogi życia obu piewców na jakiś czas rozeszły się. Konradowski nastrój Adamowej muzy uniósł pierwszego poetę narodu (podobnie jak i innych) w etery zgubnych mrzonek; podczas gdy spokojny, ascetyczny charakter Bohdana nie pozwolił mu posunąć się do sekciarstwa i zatrzymał na *prawowiernem* stanowisku 1834 roku, a jeżeli myśl jego mogła przybrać niekiedy cechę krańcowości, była to krańcowość ortodoksyjna, krańcowość określająca się w ideale „zmartwychwstańca.“

Dalsze ustępy VIej pieśni „Ducha od stepu“ są poniekąd, równie jak cała pierwsza połowa tego aż do IXtej pieśni poematu, liryczną autobiografią Bohdana. Oto wewnętrzne dzieje wieszczego ducha od religijnego odrodzenia się do napisania mistycznej „epopei“ w chwili poprzedzającej prawdopodobnie epokę zaślubin poety:

„Na skinienie — biegną — zbiegły
Pieśń i Czystość — dwie siostrzyce;
Na rumieniec grzeją lice,
Gdzieś na rajskie gody wiodą...
Młodzian z piersi, ze źrenicy,
Jako z mszalnej kropielnicy,
Bucha w niebo wonią, wodą!
Na pustkowiu*) powrót ducha
Sławi świetnie: słucha — słucha —
W sercu tętno; wieść się budzi —
Gość — gość nowy — nie od ludzi!
Przystrój dom! wyszukaj kwiecia!
Czarownica trzecia — trzecia —
Siostra Miłość z niebios zbiega.“

Odtąd poeta w podróży po „mętnych życia falach,“ oprawia serce w stal chrześciańskiego męstwa i z okiem ku niebu zwróconem „dzierży stary ślub swój wierze,“ podczas gdy dokoła niego bratnia drużyna (Goszczyński, Mickiewicz..) bunt przeciw kościołowi podnosi:

„Lik przyjaciół niegdyś mnogi,
Spółwędrowcy jednej drogi,
Już pobożnych bluźnią cnocie;
Ukochane patrzaj — wrogi!
Prześladowań knują krocie:
Na wiek wieków rozminięci!...
Lecz nie w sercu, nie w pamięci.“

O stosunkach domowych i późniejszych losach Zaleskiego nie wiele dziś możem powiedzieć. Wiemy tylko, iż przedwcześnie zaszedł w okres starości**), że się późno (prawdopodobnie około 40 roku życia) ożenił, że przez długie lata był przewodnikiem, przez paryską komunę zniesionej szkoły batignolskiej, że wreszcie w r. 1864 utracił brata. Dzisiaj gęślarz siwobrody, ojciec nielicznej rodziny, zgłębiając pośród codziennych trosk życia, widne oku pieśniarza „odwieczne limany“ duma w gallickiej ziemi o Niebie i... o polskiej Ukrainie.

* * *

Badane w kolei czasu objawy twórczości Zaleskiego tem się różnią od objawów twórczości innych, zwłaszcza mniej podmiotowych poetów, że prawie wcale nie dostrzegamy w nich *historyi*; to znaczy: że o ile przy rozważaniu działalności — Słowackiego, Mickiewicza, Pola, Syrokomli, Goszczyńskiego i innych, z łatwością dośledzić można — zawiązku talentu, wzrostu, chwili pełnego rozwoju i stopniowego wreszcie artystowskich sił omdlewania, o tyle badając poetycki żywot wybranego przez nas piewcy, zmuszeni jesteśmy ustawicznie w jakiemś zaklętem krążyć kole i wszystko co napisał za utwór jednej niejako uważać chwili. Dziwić się przecie temu nie należy. Wcześnie wyrobiona i skierowana odpowiednio zbyt wyłączna zdolność, bezpowrotne w wiośnie życia wydalenie się za granicę rodzinnych stepów i borów, a następnie za granicę kraju, niski nakoniec do ostatnich lat poziom filozoficznego wykształcenia—wszystko to *unieruchomić* musiało poetę-lirnika na stanowisku tęsknotą i wspomnieniem jednostajnego pieśniarstwa.

Ten jednakże brak rozwoju w życiu poetyckim Bohdana nie jest bezwzględny. W zaczarowanym kręgu dum i dumek dopatrzyć się można śladu jakoby trzech chwil historycznych. Niektóre z jego poezyi zdradzają pod względem formy, a w części i pod względem wewnętrznym, uderzające powinowactwo z utworami epok poprzednich, a nadewszystko z muzą Brodzińskiego. Te drobne przeważnie płody zaliczamy do utworów *chwili pierwszej* lub w ogóle do ostatniej, najniższej kategoryi. Wzorem ich może być przytoczona już powyżej „Nieszczęśliwa rodzina.“ Inne znów odznaczają się młodzieńczą swobodą myśli, świetnością języka, bogactwem barw i tonów. Są to oryginalne, prosto z duchowych głębin wydobyte perły lirycznej poezyi. Do takich należą: „Śpiew poety,“ „Rusałki,“ opis wiosny w „ks. Hance,“ „Czajki“ i inne. Utwory te nazwiemy płodami *drugiej chwili*, albo inaczej—pierwszej, najwyższej kategoryi. Są jeszcze inne, zewnętrznie wzorowe i oryginalne, niekiedy o rozleglejszym, niż poprzednie konturze, ale pod względem wewnętrznym częstokroć o wiele niższe... Łza, krwawa córa nadmiernej za Ukrainą i przeszłością tęsknoty, myśl chłodna lub wsteczna zakłócają harmonią, psują artystyczny ład obrazów.

Są to utwory *trzeciej chwili*, a drugiej co do wartości kategoryi. Za przykład posłużyć tu może w młodości napisana, lecz dowodząca w pewnej mierze prędkiego zestarzenia się ducha, przytoczona powyżej „Duma z pieśni ludu ukraińskiego,“ a nadewszystko — z wyjątkiem niektórych epizodów, owa „epopeja, której tłem wieczność a Bóg bohaterem,“ zwana „przygrawką do nowej poezyi“ lub „Duchem od stepu.“

(C. d. n.)

---

dodaje: „Chciałbym wiedzieć coś ty wczora robił i co myślał, bo mnie się zawdy widzi, że my we dwóch tylko jednego mamy ducha i że w jednym czasie nie możem być poetami na ziemi.“

*) W Endoume prawdopodobnie.

**) Oto co czytamy w liście Mickiewicza do braci Zaleskich pod datą miesiąca maja 1838: „Córka już gada, biega i na miasto ze mną chodzi z wizytami. *Gdyby Bohdan nie był tak łysy i wąsaty*, to kto wie, możebyśmy o nim pomyśleli...“

Z PAMIĘTNIKÓW

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

POWRÓT Z BAGDADU EUFRATEM (1871 r.)

(Ciąg dalszy.)

Arba! tlate u nus! u nus! tlate! tlate! *) Coraz głośniej poczynał wołać majtek, mierzący ogromną tyką głębokość wody — Makina jawasz! zagrzmiał przez tubę kapitan. — Na tę komendę zwolniały koła parowca, zamarły na ustach wszelkie słowa podróżnych, a oczy ich zwróciły się na pilota, którego ręka do góry wzniesiona, jak machadło dawnych telegrafów, szybko dawała znak sterowi. Tlate! tlate ela rub! *) złowieszczo zazgrzytała pierś parowca, a on sam zadrżał i wstrząsł się okropnie, niszcząc równowagę sprzętów, nóg i ciał na pokładzie; chwytając się nie mogliśmy jednak powstrzymać głośnego choć niepoczciwego wybuchu śmiechu na widok Anglika, którego czerwona kurtka na chwilę nam błysnęła i z głuchym rumotem zapadła się pod pokład.

Makina stop! — Osiedliśmy na piasku. Nie ma nic niebezpiecznego, rzekł spokojnie inżynier, — za parę minut uwolnimy się z tego więzienia. Makina — gueri! Na szczęście czerwonej kurtce nic się boleśnego nie stało, tabliczki tylko rozpierzchły się pod schodami, zbierał je nasz towarzysz najspokojniej, gdyśmy wyrzucając sobie wybuch śmiechu z prawdziwą obawą stłoczyli się u schodów. Mnóstwo jest na Eufracie mielizn, które prąd rzeki dziś tu, jutro tam tworzy, — znosząc jedne zupełnie lub rzucając drugie w najgłębszych miejscach łożyska; mielizny te dla parowca idącego w górę nie są tyle niebezpieczne, ile dla płynącego w dół, bo szybki prąd wpycha go na ławę piasku już naniesionego, a przy tem zasypuje go tym, który toczy ze sobą. Pomimo dosyć wysokiej wody, jako w maju, w epoce roztopu śniegów w górach, z których Eufrat wypływa, i pomimo niezliczonych tam strumieni zmieniających się w rwące potoki, które go zewnątrz nurtami swoimi zasilają, nie było dnia, żebyśmy po kilka razy na piasku nie osiedli. Parowiec nasz niezbudowany na tego rodzaju rzekę, która wymaga statków płaskich, mało się zanurzających, naturalnie wystawiony był na częstsze wypadki zamielenia się — z wielką więc uwagą przysłuchiwaliśmy się zawsze, gdy majtek

---

*) Po arabsku: Cztery! trzy i pół! i pół! trzy! trzy!

*) Tlate ela rub! = 3 bez ćwierci.

począł głośno liczyć, a zaczynał od czterech i pół... na trzy... gotowaliśmy się do przyjęcia silnego wstrząśnienia, towarzyszącego każdemu wpakowaniu się na mieliznę... Nie zawsze jednak to nas spotkało, — bo często majtek od razu ucichł, co było dowodem, że mieliśmy już głębię pod sobą. Nie wyszło pięciu minut, wydobyliśmy się z piasku i lekkim łukiem wyminęliśmy przeszkodę, o którą zdaje się uderzyliśmy z winy ludzi przy sterze, co źle zrozumieli znaki pilota. Kapitan znowu zakomenderowawszy maki arsz! zasiadł poważnie na pokład, a w jego fotelu z przeciągłem uff! usadowił się opasły murzyn— porucznik. Pilot i porucznik zmierzyli się od stóp do głowy okiem wyzywającem się; murzyn wyciągnął rękę z sebilą*) do beduina i rzekł przyjacielsko: — „Świeżo nałożona, prawdziwy kermanszah; weź hadżi i tubę, wiesz, że trochę głuchy jestem, mógłbym niedosłyszyć podszeptu twojego, tak dobrze jak kapitan — weź tubę i gadaj sam do machiny.“—Sebilę przyjął hadżi z podziękowaniem — ale wymawiał się mocno od tuby, czem wiedział, że murzyna w wielki wprawia kłopot — Hatir itchin hadżi! Tak serdecznej prośbie nie mógł się w końcu oprzeć beduin, wziął z obojętnością tubę, ale nigdy żadnego marszałka oko, gdy raz pierwszy hetmańską ujmie buławę, nie ożywiło się taką radością, jak w tej chwili wielkie czarne damne oko Araba pilota. Kapitan tymczasem na przodzie pokładu pomiędzy szeroką roztarasowaną familią izraelską dawał głośne dowody, że jest komendantem, nielitościwie nogą rozsuwał na lewo, na prawo, kołdry, materace, rogoże — „Hej! Ali-czausz! jak mi tu kiedykolwiek, patyczek jeden będzie leżał na środku, to hapuz! (koza). Nie wiesz, że u mnie porządek być musi. — Leniuchy, ślepi wszyscy! czy to moja rzecz, wszystko robić za was. Drogę zostawić mi szeroką wzdłuż całego statku, szeroką jak Beyoglu! (Pera) rozumiesz. Idź do kuchni i dopatrz, żeby mi kucharz nóżek baranich nie przypalił.“ — Arba, tlate u nus! zawołała nagle sonda, i jednocześnie przeciągłym basem zajękła tuba beduina — „machina wolno!“ tribord — marsz!“ Arba! arba u nus arba u nus... sonda ucichła, wyminęliśmy mieliznę.

— Widzicie panowie, rzekł półgłosem kapitan, ten Abissyniec dla tego, że umiał dobrze lulki nabijać kapudanowi paszy, jest moim porucznikiem — a jutro może zabierze moje miejsce; powinienbym cybuchem plecy mu obłożyć, że zdał komendę pilotowi — cóż kiedy pilot sto razy więcej wie od niego, — nimby zdołał wytłumaczyć mu, że trzeba tribord, marsz — szrr — hop i stop na piasku! Dla tego muszę patrzyć przez szpary — i wolę cierpieć, że ta kałabania chrapie w moim fotelu, niż zmuszać go do pełnienia służby i narażać przez to, Ałłahu nie dopuść, parowiec i was na pewną zgubę. — Hej ogrzewacze! co ten czerwony tam pomiędzy wami robi! Czy nie wiecie, że zakazałem obcym tu wchodzić. Jassak!**) Spadł tu do nas po schodach, zgubił trzewik i nie może go znaleźć.“ — Ho! ho! czapkinie nie może go znaleźć — pomóż mu odszukać, bo ja tam do was zejdę i będzie źle. A na Ałłaha! co to? wy węgle palicie, a, ja nieszczęśliwy człowiek! porwał się za głowę kapitan i jak bomba spadł przed ognisko pomiędzy ogrzewaczów: „Kto wam pozwolił brać węgle!“ — A czem robić parę? — Drzewem! drzewem, jak nakazałem. — Estendim nie ma drzewa! — Jak to nie ma! — Ośm razy piekło się chleb — a resztę spalił kucharz. Dziewiętnaście dni staliśmy na miejscu, co dzień trochę, to i wyszło. Jakto, panowie mechanicy! wiedzieliście, że drzewo wypalają i pozwoliliście na to? a przecież wiecie, że ta trocha węgla, przeznaczona jest na miejsca gdzie mamy z prądami się łamać — kto wydawał drzewo? — Porucznik— Peki! i porucznikowi i wam wpiszę do żurnala; jak mi węgla zabraknie a prądów nie będziemy mogli zwyciężyć, to ja sobie ręce umywam, nie moja, nie moja wina — Hadżi! daleko do pierwszego składu drzewa? — Za godzinę tam będziemy, odpowiedział pilot. — Dzięki Bogu! a teraz czapkiny! trzewik tego fukary (biedaka).“ Wrócił kapitan na pokład a za nim i Anglik z trzewikiem w ręku, któremu upadek z góry a może i złośliwość pewne zrządziła spustoszenia.

— Widzicie sami państwo, — wszystko na mojej głowie! — szczęście, że mamy składy drzewa po drodze; — a jeszcze pytanie, czy go beduini nie rozkradli.

—Piękne mamy przed sobą widoki, nie prawda panie inżynierze kolego, odezwałem się do inżyniera. — Obawa kapitana jest słuszna, zdaje mi się, że będziemy musieli sami drzewo rąbać w laskach, których jest kilka nad Eufratem, tylko powiadano mi przeszłego roku, gdy pierwszą robiliśmy wycieczkę, aby zbadać, czy rzeka jest żeglowną, że laski te pełne są lwów, które mają być bardzo niebezpieczne.

— Ha! jak drzewa, to i węgla zabraknie, to będziemy palili wszystko co tylko palne — poczniemy od daktylów, których mamy porządny zapas, a ich ziarno wybornem jest paliwem — przesypiemy je tytoniem nargilowym i pójdzie to jakoś — i dowiedziemy, że ma słuszność, pan Ritter, utrzymujący, że w Turcyi il ne faut pas être ingenieur mais ingenieux.

—Ho! ho! zlitujcie się panowie! —przerwała moja żona — niech wam zmyślność nie poradzi zużytkować mój tahturwan,*) który mnie przeniósł z Alepu do Diarbekiru — w nim cała moja nadzieja przebycia ciężkiej drogi między Eufratem a morzem, — miałam szczęście poznać się z m'charą i nie radabym nigdy w życiu mojem w niej się znajdować.

— Wiem co jest tahturwan, mam go przed oczami, i przyznam się, że te dwie jego długie belki, w braku paliwa, mogą skusić kapitana — ale cóż to jest m'chara, o której pani z pewną zgrozą wspominasz.

— Ciekawa byłabym widzieć naszego Anglika we m'charze, i tylko łamię sobie głowę, kogoby mu z drugiej strony dać dla równowagi — bo mchara to poprostu para skrzynek, związanych ze sobą pasem, które zarzucają się jak juki na grzbiet muła i wiszą na obudwóch jego bokach. Pani Sydnej, w takiej skrzyni wieziona, biedna ofiara, huśtana, wstrząsana, szturchana po kilkogodzinnej podróży, nie ma siły zleść po drabinie.

(C. d. n.)

*) Sebile — krótka bez cybuszka z gliny fajeczka, z której palą beduini i fellahy Mezopotamii.

**) Nie wolno! zakazano!

*) Tahturwan, rodzaj wielkiej lektyki, do której z przodu i z tyłu wprzęga się muł, — do poważnej tej niby karety potrzeba najmniej czterech ludzi, idących z mułami i z boków tahturwana.

STUDYA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego

(*Ciąg dalszy.*)

Toskańskiego gotycyzmu najdoskonalszym i ostatnim wzorem kościół świętej Maryi kwietnej we Florencyi, największy tum po św. Piotrze. W uczonej choć chrześcijańskiej Florencyi widziano w świecie matematyczną myśl Boga, w chrześcijaństwie niezmienne duchowe prawo, a w budownictwie goniono nie za mrzonką ale za rzeczywistością, o ile być może potężną. Gdy tedy *della Quercia* wszedł w las mistycznej fantasmagoryi, *Arnolfo del Cambio* zaczął we Florencyi dźwigać kościół podobny do scholastycznej filozofii św. Tomasza, zimny, ciemny, konsekwentny, duchowny i potężnie groźny, podobny do boskiej komedyi Danta, bo z razu odpychający i nie zrozumiały a potem nadzwyczaj uroczy w potędze swojej. *Arnolfo del Cambio* przyjął i krzyż, i ostrołuk, co powstał z trójkąta symbolu wiary, i ze sfery znaku nieskończoności, za podstawę swego dzieła. Wystawił jednak tylko długie ramię krzyża, wielką podłużną nawę, po której bokach stanęły dwie nawy i węższe i niższe. W owej wielkiej nawie pokazał całą potęgę ostrołuku, dźwigając olbrzymie gotyckie sklepienie. tak wielkie i szerokie, że największy tum północny zmieściłby się pod nim cały z wyjątkiem jednych tylko wież. Forma tego sklepienia szeroka i wzniosła, potężna i lotna, robi i na oku wrażenie największej siły, i tę siłę w samej rzeczy posiada. Cztery ostrołuki wsparte na trzech masywnych graniastych filarach, odgraniczają nawę główną od naw bocznych. Gzyms bronzowy jedyną ozdobą trzeźwych bielonych ścian. On uwydatnia łuki i oddziela filary od sklepień, dzieląc wszystko i porządkując. Tak rozpoczęty kościół w niczem nie postąpił na zewnątrz przez półtora wieku. Nikt już w Toskanie nie śmiał stawiać podobnie groźnych sklepień, a nawet w kościołach stawianych na mniejsze rozmiary podług tego wzoru zastępowano zuchwały, ostry sklep wielkiej nawy, prostem balkowaniem, tylko po bokach ostrołuki rozstawiając.

Było to już w drugiej połowie piętnastego wieku. Więcej jak tysiąc lat minęło odkąd Panteon się dźwignął. Już się zawalił był bok jeden Koloseum. Maryą już od dawna zamiast Ateny czczono w Partenonie, gdy się *Bruneleschi* zwierzył signoryi florentyńskiej ze śmiałym, z zuchwałym pomysłem. Mówiono mu, że ma myśli niemożebne, a on stworzył kopułę florentyńskiej katedry i tą kopułą otworzył nowy wiek dla sztuki.

Ona od rzymskich zuchwalsza. Snać nie zna ciężaru, tak hardo się zagięła w ostrołuk. Rada z siebie na szerokiej stanęła podstawie. Hardo ziemią pomiata, a u szczytu ostrego dźwiga latarnię i krzyż. Znikome miasto ludzkie roi się u jej stóp. Ona zda się przetrwa miasto owo. Najśmielszy to pomysł jaki powstał w wyobraźni artysty, bo kopuła owa to góra kamienna, nie mniejsza od egipskich piramid, a próżna u wklęsłego wnętrza.

Bruneleschi zakończył wielką nawę Arnolfa dwoma ukośno postawionymi filarami, których niezmierna siła przewyższa o wiele wszystko, co w tym rodzaju gdzie indziej postawiono. Przy owych filarach kończą się sklepienia trzech naw, i tu rozchodzą się ramiona krzyża, o wiele krótsze od głównej nawy. Każde z tych ramion po-

przecznych, podobnie jak głowy krzyża, składa się ze sklepienia nie mniej okazałego od sklepienia nawy. Końce ramion i głów rozchodzą się w wachlarze ostrołucznych kaplic, a poprzeczne łuki umieszczone tam, gdzie się ramiona i głowy schodzą, prowadzą do większych ciemnic kwadratowych. To wszystko tworzy różnorodne symetryczne perspektywy, w których drga uroczyste duchowne życie ostrołuków, w których trójkąty i ostrołuki powtarzają się ciągle, w których wszystkie proporcye dziwną matematyką ujęte. Wszędzie gzyms brunatny uwydatnia części architektury.

Ponad czterema potężnemi ostrołukami, dźwiga się, w powietrzu zawieszony, gzymsami odgraniczony, olbrzymi ośmiokątny gmach, którego sklepieniem ostrołuk obrócony w koło własnej osi; gubiąca się w mrokach kopuła, o jakiej Rzymianin i nie marzył. Ogromne jej przestrzenie załamały się w ośm trójkątów, których szczyty się schodzą, i oko dostrzega tam wysoko nad sobą dziwnie rozmaitą i perspektywiczną matematykę linii kamiennych zawieszonych w powietrzu.

W dwu niższych nawach długiego ramienia i w ogóle na zewnętrznej gmachu ścianie plotą się tylko gzymsy w kształt ostrołuku dla ornamentyki ułożone. Podłużne okna u ścian bocznych ramion, pod samem sklepieniem i w około bębna okienka, u wejścia okno krągłe i masywne, wlewają światło ciche w cienie modlitewne. Tylko jedno wielkie okno nad główną bramą leje szerszym strumieniem coraz bledniejące światło do wielkiej nawy. Światło to nie starczy do rozświecenia głębi, i gdyby to tylko światło istniało w kościele, nie mrok ale ciemność panowałaby wśród niezmiernie głębokich sklepień kopuły i otaczających ją ramion. Okna, które ciemność tę z lekka rozświecają, nie widzialne ze środka kościoła, i ztąd widz myśli, że światło owo to chyba światłość nie ziemska, a nadprzyrodzona, iście boska i niebieska światłość zbawienia i cudnej łaski, co mroczne rozwidnia życie.

W takim to cieniu wznoszą się łuki olbrzymie. Głębsza noc w bocznych panuje krużgankach, a wszędy w ład ujęte linje modlą się spokojne i pobożnie szczęśliwe, zrosłszy się w krzyż olbrzymi. Nigdzie nie masz rzeczy, ni gzymsu, ni kamienia, coby się buntował przeciw ładowi i myśli przewodniej. Ołtarz pośrodku, nad nim olbrzym kopuła, a pod nią promienieją nawy, co ją dźwigają. W całem wnętrzu widać ulubiony w Toskanie podział na pięć części: kopuła promienieje w cztery ramiona; filary naw dźwigają łuki boczne, nad niemi wznoszą się olbrzymie naw sklepienia, niby duchy archaniołów sparte o ramiona duchów mniejszych, a bliższe Boga i światłości. Potem bęben ośmiokątu, część budowy czwarta, oświecona ośmioma okrągłemi oknami, niby niebios świecznikami. A potem ostrołuk w nieskończoności, kolista prawie kopuła, obraz Boga górny.

Krużganki boczne, boczne łuki i okna, to niby świat ziemski i ziemska ludzkość. Tu w bocznych krużgankach głębokie ciemności, a smuklejszy kształt łuków mówi o tęsknocie pragnącej się gwałtownie od ziemi oderwać.

Już na granicy krużganków bocznej a głównej nawy, łuki spokojne i niewidzianie potężne, a nad niemi coraz to większe, coraz to bardziej olbrzymie, aż zawrot bierze. Pod kopułą ciemno i cicho. Ale to nie ciemność nocy, to nie śmierci milczenie. Tu spiew wieczny architektonicznych linii; tu śmiertelnych padołów zaćmienie wobec blasku Boga i boskiej potęgi.

Arnolfo i Bruneleschi goniąc za potężną architektoniką, śmielszą od starorzymskiej a obejmującą w sobie różnorodne perspektywy, dopięli dziwnie celu swego, i stworzyli mistyczną a olbrzymie silną budowę o duchownem życiu i misternym rozkładzie. Nie ma tu namacalnego piękna Grecyi, ale nie ma ani średniowiecznej nieujętej fantastyczności, ani owego gonienia za bezmyślną i teatralną ornamentyką, co rzymską sztukę znamionuje. Wzgarda marmuru i świetności, wzgarda wszelkich ozdób do ostatnich tu doprowadzona granic. Na zewnętrznej za to stronie kolosu nie ma już tej mroźnej prawie prostoty. Kopuła w całej grozie i mocy dźwiga się po nad zagięte i połamane linie ramion i głów krzyża, i wychodzi jak prawdziwa góra z pod podgórza o mnogich załomach. Nigdzie się nie widzi takiej potęgi, wzniesionej ręką ludzi. Zresztą wielkie przestrzenie muru nawy wyglądają martwo i tylko marmury w czternastym wieku ręką malarza *Giotta* ułożone, dodają uroku tym długim ścianom. Toskana nigdy bardzo nie dbała o boki kościołów, a tu fasady nie wystawiono wcale, zostawiając od frontu ścianę ceglaną. Na bokach marmury bronzowe czarne i żółte ułożyły się w szachownicę, w której pionowe linie przeważają. I tu zapanowała włoska miłość marmuru, a tylko kierunek linii barw został bardziej zastosowany do stylu gotyckiego. Małe okienka ujęto w ślicznie dzierzganą ornamentykę marmurową, w kręcone słupki i spiczaste trójkąty o dziecinnym wdzięku. Ozdoby te tak drobne, że dziwota, jak marmur nie pękł w ręku snycerza.

W północnych tumach wiemy, że dzwonnica zrasta się z kościołem. Tu stoi osobno, jak zawsze we Włoszech. Wyszła ona z pomysłu tegoż *Giotta* w drugiej połowie czternastego wieku, a Karol V., cesarz, powiedział o niej, że należałoby ją zamknąć do biżutyerki. Tylko ornamentyka łączy tę wieżę z tumem, bo zresztą gdy tam moc, tu filigranowy wdzięk niewidziane święci zwycięstwo. Wieża ta czworograniasta i bardzo smukła, nie zwęża się u góry i kończy się płasko cała przyobleczona w śliczną mozaikę marmurów. Podobnie jak kościół dzieli się na pięć piątr, i choć jest jedną z najwyższych wież na świecie, nie sięga wysokości krzyża na kopule.

Oba dolne piątra budowy masywne i zdobne tylko w rzeźby i marmury. Drugie jednak smuklejsze od pierwszego, gotuje się już do lotu. Dalsze piętra pajęczyną marmurową.

(C. d. n.)

Z NIEZNANYCH POEZYI.

MIECZYSŁAWA ROMANOWSKIEGO.

DAREMNIE!

Pójdę ja brzegiem majowym zdroju —
Pójdę dla serca szukać spokoju.
— Niezapominka u brzegu rośnie..,
O! nigdy — nigdy pokąd tych wód —
Pierś nie przestanie goreć miłośnie...
O! wróć się chłopcze — daremny trud!

Pójdę ja w górę na głuche tonie,
Może tam serce w ciszę zatonie?
— O wróć się chłopcze! tam świat bez granic.
Nie przemierzona oczyma dal, —
Ach! tam tęsknoty nie oprzesz na nic —
Uschną ci piersi — spali cię żal.

Toż pójdę w pola; — gdzie łąka, zboże —
Tam smutne serce przeboli może.
— Blady tam błękit — słońce przygrzewa,
Pusty wiatr ciągnie obszarem pól! —
I więdną kwiaty, usycha niwa; —
O! wróć się chłopcze! nie zgaśnie ból.

Pójdę ja w lasy ciemne i chłodne
Może tam znajdę chwile swobodne.
— Choć ciemne lasy — choć puszcza dzika,
Lecz tam się błąka lasowy czar,
I szmerem liści, pieśnią słowika
Powie ci o niej, — i wskrzesi żar.

Toż ja powrócę pod moją strzechę,
Tam może serca znajdę pociechę?
— Ściany twej chaty bielone pięknie,
Lecz tam się znajdziesz — ach! taki sam,
Że ci się z bolu serce rozpęknie;
Oj! biedny chłopcze nie wracaj tam.

Gdzież ja się z tęsknem sercem obrócę?
Pójdę — na morze — w łodzie się rzucę..,
— Obejdź ty, — opłyń ziemię do koła,
Płyń ciszą — oblec na skrzydłach burz.
Ni żalu z serca — ni dumki z czoła
Ni jej z pamięci nie zbędziesz już.

22 czerwca 1858 we Lwowie.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

XIX.

Ostatnia groźba.

Owego dnia roboty w kopalni Nowej-Aberfoyle szły zwykłym trybem. Z daleka słychać było wystrzały nabojów dynamitowych, używanych do rozsadzania nowych żył węgla, w innym kierunku dochodził jednostajny odgłos kilofów i motyk — tam skrzypiały świdry przewiercające pokład wapienny lub łupkowy; kłęby pary wybuchającej z maszyn wydobywały się na zewnątrz szybami przewiewnemi, a drewniane klapy w tych szybach podnosiły się i spadały z łoskotem. W dolnych kondygnacyach wagony, poruszane siłą mechaniczną, przebiegały po szynach z szybkością piętnastu mil na godzinę, automatycznymi dzwonkami swemi ostrzegając górników, aby ustępowali z drogi i chronili się w umyślnie przygotowanych w tym celu wyżłobieniach. Windy obsługiwane maszyną parową, wznosiły się i opuszczały bez przerwy, wydobywając na zewnątrz kopalni kible pełne wybornego węgla, a całemu ożywionemu temu obrazowi przyświecały płomienne elektryczne tarcze..

Szymon Ford i Marya po obiedzie, we dwoje tylko spożytym, zasiedli przed folwarkiem, dla chwilowego wytchnienia. Stary oberman, paląc fajkę nałożoną wybornym francuskim tytoniem, rozmawiał z żoną o Henryku i o Nelly, o towarzyszącym im inżynierze, o wycieczce ich przedsięwziętej dla młodej dziewczyny. Co robią oni teraz? w którem miejscu mogą znajdować się? Jak to może być, aby przez tak długi czas nie zatęsknili jeszcze do kopalni...

W tej chwili rozległ się gwałtowny, nadzwyczajny huk; wydawało się jakby olbrzymi wodospad stoczył się nagle do kopalni.

Szymonostwo zerwali się ze swego miejsca.

Prawie jednocześnie wzburzyły się ciche zawsze wody jeziora Malcolm. Pierwsza olbrzymia

fala wyrzucona z łożyska rozbiła się z szumem o ściany folwarku.

Szymon porwał żonę na ręce i zaniósł ją na pierwsze piętro mieszkania.

Całe Coal City, zagrożone potopem, wydało jeden straszny okrzyk rozpaczy; mieszkańcy pouciekali z domostw, i szukali schronienia na najwyższych szczytach skał łupkowych, tworzących brzegi jeziora.

Przestrach był nie do opisania. Kto mógł, podążał do głównego tunelu, aby wydostać się na zewnątrz, zachodziła bowiem obawa, czy to nie wody morza wdarły się do kopalni, której krańcowe galerye rozciągały się aż pod Kanał Północny. W takim razie całe podziemia, bez względu na ich obszerność, musiałyby być zalane. Ani jeden z mieszkańców Nowej Aberfoyle nie uszedłby śmierci.

Ale gdy pierwsi z uciekających dobiegli już do wielkiego tunelu, powstrzymał ich stojący już na stanowisku Szymon Ford, i zawołał silnym głosem:

— Wstrzymajcie się, przyjaciele! Gdyby miasto nasze miało być zalanem, jużby i śladu z niego nie było. Ani jeden z was nie zdążył by przybiedz tutaj! Ale wody nie podnoszą się już wyżej. Niebezpieczeństwo prawdopodobnie już minęło.

— A nasi bracia, zatrudnieni w kopalni? odezwało się kilku górników.

— Nie potrzebujemy lękać się o nich — odpowiedział Szymon. — Roboty odbywają się dzisiaj w wyższych komorach, po nad powierzchnią jeziora Malcolm; nic więc im nie zagraża!

Spostrzeżenie starego obermana okazało się zupełnie słusznem... Woda wdarła się gwałtownie, ale spłynąwszy na najniższe piętro kopalni, podniosła tylko o kilka stóp jezioro Malcolm, nie zagrażając bynajmniej *Miastu węgla*.

Co jednak było przyczyną tego cząstkowego zalewu: czy wody zaskórne, uzbierane po nad sklepieniem pieczary, czy też, nastąpił on w skutek przedarcia się w łono ziemi jakich wód zewnętrznych, trudno było na razie odgadnąć. W żadnym jednak razie katastrofa ta nie dała się zaliczyć na karb zwykłych wypadków, jakie dość często zdarzają się w kopalniach.

Wieczorem dopiero zagadka została rozwiązaną.

Dzienniki otrzymane ze Stirlingu podały wiadomość o dziwnem zjawisku, jakiego widownią było jezioro Katrine. Nelly, Henryk, inżynier i Jakób, którzy z całym pośpiechem wrócili do domu, potwierdzili tę wiadomość, przekonawszy się sami z wielkiem zadowoleniem, że szkody zrządzone w Nowej Aberfoyle, ograniczyły się na samych tylko materyalnych stratach.

Tak więc jezioro Katrine wypróżniło się niespodzianie. Wody jego spłynęły do kopalni. Z ulubionego jeziora szkockiego powieściopisarza nie pozostało nawet tyle — zwłaszcza w południowej jego stronie — by *Dziewica jeziora* mogła zamoczyć drobne swe stopy.

Zadziwiający ten wypadek nabrał — jak łatwo się domyśleć — nadzwyczajnego rozgłosu. Po raz to pierwszy bezwątpienia, dość znaczne jezioro, znikło w ciągu kilku minut z powierzchni ziemi. Jezioro Katrine należało już teraz wymazać z mapy Wielkiej Brytanii, przynajmniej na tak długo, dopóki nie zostanie ze składek publicznych na powrót zapełnionem, rozumie się, po poprzedniem zamknięciu przypadkowego upustu.

Gdyby Walter Scott powstał z grobu, umarłby powtórnie z rozpaczy na widok takiego nieszczęścia!

Co bądź jednak, katastrofa łatwą była do wytłumaczenia: pomiędzy olbrzymiemi pieczarami kopalni Nowej Aberfoyle a dnem jeziora, znajdowały się tylko dość cienkie pokłady drugorzędne, wśród których nie trudno było wodzie wyżłobić sobie ujście.

Dla inżyniera przecież, Szymona i Henryka, naturalna ta przyczyna nie była wystarczającą. Zadawali oni sobie pytanie, czy zrządzonego zalewu nie należało raczej przypisywać złośliwemu zamiarowi. Dawne podejrzenia odżyły z nową siłą. Zły duch znowu więc wszczyna walkę przeciw spokojnym pracownikom kopalni?...

W kilka dni później inżynier rozmawiał o tym wypadku ze starym obermanem i jego synem.

— Mojem zdaniem — mówił — katastrofa ta może być zupełnie przypadkową, ale mam jakieś przeczucie, że i ją policzyć należy do rzędu owych faktów, przyczyn których po dziś dzień szukamy napróżno.

— Podzielam w zupełności zapatrywanie pańskie — odpowiedział Szymon — ale wierzaj mi pan, najlepiej będzie, jeżeli zachowamy tajemnicę przy sobie i sami będziemy robić poszukiwania.

— Oh! z góry już wiem — zawołał inżynier — jaki będzie z tego rezultat!

— Naprzykład?

— Znajdziemy dowód, że czyn niegodziwy został spełniony — ale sprawcy jego nie znajdziemy!

— A przecież musi on istnieć! — odparł Szymon. — Ale gdzie się ukrywa, do licha?! Czy podobna, aby jedna osoba, chociażby nie wiem jak niegodziwa, zdołała przyprowadzić do skutku tak piekielną myśl jak spuszczenie wód całego jeziora? Doprawdy, gotów jestem w końcu uwierzyć z Jakóbem, że to jakiś duch kopalni mści się na nas za to, żeśmy się wdarli do jego państwa!

Samo z siebie wynika, że Nelly nie była dopuszczoną do podobnych narad. Pomimo to jednak, całe postępowanie jej świadczyło, że młode dziewczę żywy bierze udział w strapieniach przybranej jej rodziny, a smutny wyraz jej twarzy był wyraźnem odbiciem dręczących ją niepokojów.

Po długim namyśle uradzono wreszcie, że nie mówiąc nikomu o celu swej podróży, inżynier, Szymon i Henryk udadzą się na miejsce wypadku i zbadają wedle możności przyczynę takowego.

Wybrali się we trzech czółnem, którem kierował Henryk i dopłynęli do miejsca, gdzie nastąpił zalew. Filary naturalne, podtrzymujące kryptę, nad którą wznosiło się łożysko jeziora Katrine, były widocznie podminowane, pozostały jeszcze czarne ślady w miejscu, w którem proch był zapalony. Okopcone kawały wyłamanego sklepienia sterczały po nad powierzchnią jeziora Malcolm.

— Nie ma więc żadnej wątpliwości — rzekł inżynier. — To szczęście jeszcze, że się na tem skończyło, bo pomyślmy tylko co by się stało, gdyby mina podłożona była nie pod małem jeziorem, ale pod dnem morskiem!

— To pewna, — zawołał Szymon z wyrazem nieokreślonej dumy — że morza całego potrzeba by na zatopienie naszej Aberfoyle! — Ale raz jeszcze zapytuję, komu może na tem zależeć, żeby zniszczyć naszą eksploatacyę?

— To jest rzeczą trudną do zrozumienia — odparł James Starr. — Nie może tu być mowy o bandzie zwyczajnych złoczyńców, którzyby ze swojej kryjówki wypadali na przyległe okolice w celach rabunku i kradzieży — gdyż zbrodnia taka nie mogłaby utaić się przez całe trzy lata. Nie są to także kontrabandziści ani fałszerze pieniędzy, jak przypuszczałem niejednokrotnie, nikt bowiem nie prowadzi kontrabandy ani nie fałszuje pieniędzy, po to tylko, aby chować je w ukryciu. Jasnem przecież jest jak słońce, że jakiś wróg nieubłagany zaprzysiągł zgubę Nowej Aberfoyle, i że nieznane nam tajne pobudki kierują nim w wyszukiwaniu najrozmaitszych środków wywarcia na nas swej zemsty. — Za słaby bez wątpienia, aby działać otwarcie, obrał drogę skrytego, podstępnego działania, ale ze wszystkiego widać, że jest to człowiek niebezpieczny, górnik fachowy, umiejący na każdym szkodzić nam kroku. Za to szyję moją daję!... Przypomnij sobie Szymonie, czy nie masz jakiego nieprzyjaciela osobistego, na którego mogłyby padać twoje podejrzenia? Przetrząśnij wszystkie wspomnienia z całego ubiegłego życia swego; monomania zemsty bywa długotrwałą i nigdy nie gaśnie. Wszystko, co się tu dzieje, jest wynikiem zimnego, wyrachowanego szaleństwa, koniecznem więc jest, abyś badając przeszłość swą, nie pominął najdrobniejszych nawet okoliczności.

Szymon Ford milczał przez chwilę. Widocznem było, że przed udzieleniem stanowczej odpowiedzi, badał z zupełnym spokojem całą przeszłość swoję. Nareszcie przemówił, podnosząc śmiało głowę:

— Nie! — przysięgam na Boga, że ani ja, ani Madge nie wyrządziliśmy nigdy i nikomu najmniejszej krzywdy! Nie przypuszczam, abym mógł mieć choćby jednego nieprzyjaciela osobistego na całym świecie!

— Ah! — zawołał inżynier — gdyby to Nelly chciała przemówić!

— Panie Starr — odezwał się na to Henryk — i ty, ojcze, błagam was, nie badajcie jeszcze o nic mojej biednej Nelly. I tak już wiem, że ona dręczy się i niepokoi. Domyślam się, że w sercu jej tkwi ciężka tajemnica — ale jeżeli nie zdradza jej, dowód to, że przekonaną jest, iż nie powinna mówić — nie mamy prawa wątpić o przywiązaniu jej do nas, do nas wszystkich! Zapewniam was, że później skoro powie mi cokolwiek o tem, co nas tak bardzo obchodzi — natychmiast i wy się o tem dowiecie.

— Niech i tak będzie — rzekł inżynier — ale w każdym razie wielka szkoda, że Nelly nie chce nic powiedzieć!

A widząc, że Henryk chce zaprotestować, dodał pospiesznie:

— No, no, uspokój się! — nie będziemy badać tej, co ma być twoją żoną.

— I zostanie nią bez dalszej zwłoki czasu — jeżeli ty, ojcze, zezwolisz na to!

— Od dziś za miesiąc — odpowiedział Szymon — daję ci słowo, mój synu.

Powrócili na folwark. O celu i rezultacie swojej wycieczki nie wspomnieli nikomu ani słowa, i dla wszystkich mieszkańców kopalni przełamanie sklepienia pozostało zwykłym wypadkiem. Szkocya tylko uboższą była o jedno jezioro.

Nelly powróciła zwolna do zwykłych swych zajęć. Z wycieczki swojej na powierzchnię ziemi zachowała ona niewygasłe wspomnienia, których Henryk nie zaniedbał zużytkować dla dalszego jej wykształcenia. Ale zapoznanie się z zewnę-

trznym tym światem nie pozostawiło w jej sercu żadnego żalu. Jak dawniej, lubiła ona i teraz te posępne obszary, w których przeżyła wiek swój dziecinny i młodociany i wśród których miała spędzić i resztę życia.

Zbliżające się małżeństwo Nelly i Henryka wywołało wielkie poruszenie w Nowej Aberfoyle. Ze wszystkich stron składano młodej parze życzenia, a Jakób Ryan przygotowywał najpiękniejsze swe piosenki na uroczystość weselną, w której cała ludność Coal City miała brać udział.

Zdarzyło się przecież, że w ciągu miesiąca ślub poprzedzającego, tyle wypadków zaszło w Nowej Aberfoyle, iż zdawać się mogło, że nadchodzący dzień ślubu Nelly wywołuje katastrofę za katastrofą. Wypadki miewały miejsca głównie przy robotach wewnątrz kopalni, ani razu jednak nie zdołano odszukać ich sprawcy.

I tak, pożar zniszczył drewniane szalowanie jednej z niższych galeryi, przyczem znaleziono lampę użytą przez podpalacza. Henryk na czele górników, z narażeniem własnego życia, stłumił ogień zagrażający całej kopalni; i to za użyciem dopiero ekstyntorów napełnionych wodą nasyconą kwasem węglowym, w jakie, na szczęście, kopalnia zaopatrzoną była.

Innym razem było to częściowe zawalenie się ziemi wskutek osunięcia się podpór przy budowie nowej studni, a Szymon przekonał się następnie, że podpory te zostały przepiłowane. Henryk, pilnujący robót w tem miejscu, zasypany został gruzami i tylko cudem uniknął śmierci.

W kilka dni później pociąg wagonów popychanych siłą mechaniczną, na którym znajdował się Henryk, napotkał w drodze przeszkodę i wyskoczył ze szyn. Z dochodzenia przyczyny wypadku, okazało się, że w poprzek szyn rzucona była gruba belka.

Krótko mówiąc, nieszczęśliwe wypadki tak się roznmożyły, że jakiś przestrach paniczny ogarnął wszystkich górników. Zarząd kopalni zmuszony był do użycia wszelkich możliwych wpływów, aby zatrzymać ich przy robocie.

— Ależ to cała banda jest tych rozbójników! — wykrzykiwał oburzony Szymon Ford — a my ani jednego z nich schwytać nie możemy!

Rozpoczęto na nowo poszukiwania; policya hrabstwa czuwała dniem i nocą, ale wszystko na próżno; nie odkryto najmniejszych śladów zbrodniarzy. James Starr zabronił stanowczo Henrykowi wydalać się samemu po za obręb głównych robót w kopalni, gdyż widocznem było, że wszystkie zamachy przeważnie przeciwko jego osobie były wymierzane.

Te same środki ostrożności zachowano względem Nelly, przed którą, na prośby Henryka, ukrywano przynajmniej owe zbrodnicze usiłowania, jako mogące bolesne obudzić w niej wspomnienia. Szymon i Madge czuwali nad nią dniem i nocą z pewną surowością, a raczej ze srogą pieczołowitością. Biedne dziecko spostrzegło to, ale ani jednem słówkiem, najmniejszą skargą, nie zdradziło swej boleści. I ona także, wedle swej możności, zdawała się czuwać nad innemi, i nie uspakajała się, dopóki wszyscy jej ukochani nie byli razem zebrani na folwarku. Wieczorem, kiedy powracał Henryk, nie mogła nigdy powstrzymać objawów szalonej prawie radości, jakkolwiek z usposobienia swego więcej była skrytą, aniżeli wywnętrzającą się. Rano ona pierwsza zrywała się z łóżka, a niepokój ogarniał ją znowu z chwilą rozpoczynania robót w kopalni.

Henryk pragnął dla jej spokojności, aby małżeństwo ich raz już stało się faktem dokonanym. Sądził, że wobec nieodwołalnego tego aktu, ustaną bezużyteczne już nadal groźby, i że Nelly nie będzie zupełnie spokojną, dopóki nie zostanie jego żoną. Tęż samą niecierpliwość podzielali z nim rodzice jego i inżynier. Wszyscy oni liczyli dni i godziny prawie, chociaż i to prawda, że każde z nich zostawało pod wpływem najboleśniejszych przeczuć. Ów wróg ukryty, z którym żadną bronią nie podobna było walczyć, widocznie nieobojętnym był na wszystko, co się tyczy Nelly. Uroczysty przeto obchód ślubu Henryka i Nelly mógł wywołać nowy groźny jaki zamach nienasyconej jego zemsty.

Pewnego poranku, na tydzień przed dniem naznaczonym na zawarcie ślubu, Nelly, tknięta zapewne przeczuciem, pierwsza wyszła przed folwark, aby zbadać okolicę.

Skoro stanęła na progu, przeraźliwy okrzyk wydobył się z jej piersi.

Na krzyk ten nadbiegli natychmiast Madge, Szymon i Henryk.

Ujrzeli Nelly nieruchomą, jak śmierć bladą, z rysami zmienionemi i niezdolną ani jednego słowa wymówić. Wzrok jej zwrócony był na drzwi folwarku, które przed chwilą uchyliła. Na drzwiach wypisane były nieznaną ręką następujące wyrazy:

„Szymonie Ford! Skradłeś mi ostatnią żyłę węgla z mojej starej kopalni! Syn twój, Henryk, ukradł mi Nelly! Biada ci! biada wam wszystkim! biada Nowej Aberfoyle!

„Silfax“.

— Silfax! — zawołali razem Szymon i Madge.

— Kto jest ten człowiek?—zapytał Henryk spoglądając kolejno na ojca i młodą dziewczynę.

— Silfax! Silfax! — powtarzała z rozpaczą Nelly.

I drząc całem ciałem, szeptała bez przerwy to imię, podczas gdy Madge prawie przemocą wciągnęła ją do izby.

Tymczasem nadbiegł inżynier. Odczytawszy raz i drugi złowieszczą groźbę, zawołał:

— Ta sama ręka, która kreśliła te wyrazy, napisała do mnie ów list, jaki razem z twoim, Szymonie, otrzymałem. Człowiek ten nazywa się Silfax! Z pomięszania waszego domyślam się, że go znacie! Kto jest ten Silfax?! (C. d. n.)

LISTY Z PODRÓŻY.

Sygurda Wiśniowskiego.

Antwerpia 1go września 1877.

(Dokończenie).

Pozwólcie, bym was przeniósł za Ocean, w jednym z owych parowców, co w 8 dniach przewozi podróżnika z mętnej Scheldty do modrej East River, w której New York się mizdrzy. Słyszeliście zapewne o niedawnych ruchach społecznych w Nowym świecie, tudzież o jego przyczynach i żywiołach, które odgrywały w nim główną rolę. Był to wybuch czysto socyalistyczny, owoc nadmiernej emigracyi najgorszych europejskich żywiołów, oraz ohydnej miejscowej kasty, nazywającej się spekulantami amerykańskimi. Ludzie ci, nikczemniejsi komuniści od burzycieli Hôtel de Ville, chociaż często posiadają skradzione miliony, utuczyli się z drobnych kapitalistów europejskich, z wdów, emerytów, kmiotków z depozytami w kasach oszczędności, z owoców długoletniej pracy średniego stanu, które wyręcili na rozmaite przedsiębiorstwa nowoświatowe. Schowawszy tyle łupieży na własny użytek, ile mogli, bez przeprawy z sądem kryminalnym, resztę zmarnotrawili oni na dzieła nie dające dochodu. Ludzi tego rodzaju nazywają w Ameryce magnatami kolejowymi, gdzieindziej nazywanoby ich gründer'ami — rzeczywiście są to komuniści nowego rodzaju, co wszystko biorą, nic nie dają, i zasłaniają swoje zdobycz prawną opieką. Spekulacye ich stworzyły mnóstwo nieprodukujących przedsiębiorstw; celem zaspokojenia ludzi uczciwych, których pieniądze zmarnowano w takich rzeczach, próbowali wycisnąć z nich dywidendy, głodząc robotników. Słowem, proletaryat giełdowy z Wall street walczył tam z proletaryatem złożonym z szumowin zamorskich, biorąc warstwy przedstawiające rzeczywistą produkcyę, własność i pracę w ogień krzyżowy, póki te nie zmieniły się w konstablów i nie stłumiły zwady. Cała ta rzecz małoby nas obchodziła, gdyby nie smutne wplątanie się bliższych nam żywiołów w taką brzydką sprawę.

Smutnie, zabójczo prawie godzi w serce, gdy np. po tygodniowem nieczytaniu jakiegokolwiek dziennika, podejmujemy wstępując na ląd pierwsze podane sobie pismo niecierpliwie, aby spotkać w nim oskarżenie przeciw sobie — bo przeciw tysiącom swoich bardziej jeszcze boli, gdy wiemy, że w tem oskarżeniu tkwi dużo prawdy. Skutek takiej niespodzianki poznałem z doświadczenia.

Nie podlega wątpliwości, że oskarżenia amerykańskich dzienników, pochopnie powtórzonych przez całą nieprzychylną nam prasę angielską, polegają na faktach. Polacy w Chicago i Pittsburgu, w Buffalo i Cincinnati, w New Yorku na Thompson Square, odznaczyli się (smutne odznaczenie) w ostatnich amerykańskich rozruchach. Nie jednostki, pamiętajmy — ale tysiące. Rzecz to haniebna, lecz nie milczmy o niej, że gdy ludność polska w Chicago stanowi tylko 1/20 ogółu, lista rannych i zabitych komunistów przedstawia 1/5 imion polskich i tyleż czeskich.

On lave son linge en famille. Nie zaniedbano, aby wszelkimi środkami, chociażby sofizmatami, załagodzić w umysłach cudzoziemców nową przyczynę niechęci przeciw sobie. Kto wie, jak trudno doprosić się na Zachodzie o umieszczenie obrony najsłuszniejszych naszych roszczeń, domyśli się, że niełatwo dopukano się posłuchania dla sofizmatów. Tym zaś, co to uczynili, wolno *laver le linge en famille* i zwrócić uwagę całej rodziny na smutną gangrenę jednego członka. Polacy w Ameryce doszli już do liczby zwracającej uwagę innych narodowości, mają dzienniki, wybierają posłów, w niektórych gminach tworzą potęgę polityczną, a w tych gminach właśnie działy się owe rzeczy.

Znając maszyneryę socyalizmu amerykańskiego lepiej niż wiele innych dziwactw tamtejszych, mogę dodać do powyższych uwag jeden fakt zdumiewający, odwołując się na wszystkich podróżników polskich, co zwiedzili Buffalo, Chicago, oraz inne nasze kolonie. Socyalizm, głównie wniesiony do Ameryki i szerzony w niej przez niemieckich robotników, znajduje bardzo gorliwych prozelitów w ludzie szczerze religijnym, zabobonnym prawie, a ci co mogliby go hamować, nie czynią tego. Nie mógłbym wymienić kmiotka polskiego w Chicago, który nie podlega wpływom „Arbeiter Verein'ów“, a te zjednoczenia zaniedbują wszelkie zagadki społeczne, oprócz urządzania bezroboci i łączenia głosów robotniczych celem popierania mrzonek. Tej epidemii nie podlegają tylko tacy, co posiadają własność lub wykształcenie, a tych nie wiele liczą stosunkowo.

Ten amerykański sojusz skrajnego fanatyzmu z czerwonemi teoryami przebija się tak dokładnie w niektórych organach tamtejszego gminu, że nie potrzebuję lepszych dowodów swojej prawdomowności. Kto ciekaw tych rzeczy, raczy może porównać polemikę „Kuryera Nowojorskiego“ z wiosny r. 1876 z pewnem pismem w Chicago, którego pierwszą stronnicę zapełniał wówczas żywiopis Ludwiki Lateau, drugą i trzecią tłumaczenia z amerykańsko-niemieckich pisemek socyalistycznych, (np. artykuł pod tytułem „Robotnicy w Detroit“). Te artykuły rozsiewały wówczas komunistyczną zasadę, iż jednym z głównych obowiązków państwa jest dostarczanie pieniędzy każdemu, co chce pracować. Ostatnia stronnica zawiera złote obietnice rozmaitych kolonizacyjnych szwindlów (wybaczcie ten wyraz) niemiecko-polsko-amerykańskich. Tam anonsuje dobroczynna kompania, że poświęca się osiedleniu 1000 rodzin poznańskich z małemi kapitalikami w Jowie mroźnej i bez

drzewa, tam ostrzega agent „od niemieckiej kompanii przeprawy przez morze“, aby rodacy sprowadzający krewnych do Ameryki tylko do niego zgłaszali się po „szifskarty“ (sic). Dodajmy, że te druki idą do Prus, a może i do Galicyi, w znacznej ilości, bo ludek najchętniej posyła przyjaciołom gazety. Tytuły i hasła takich pism, orędownictwo, co je założyło i dostarcza im pieniędzy na wleczenie żywota, wszystko to potwierdza dziwny sojusz dwoch internacyonałów we wspomnianych koloniach miejskich. Sądząc ptaka po pierzu, intelligencyę tych ludzi mierzmy ich stylem i sposobem przedstawienia swoich poglądów, niegodnym gimnazyastów.

Jeszcze raz powtarzam, pierzmy tę bieliznę w domu, ale nie zamykajmy oczu na jej brudy. Prawdziwy patryotyzm powinien przypominać przyjaźń rzetelną. Ta, o ile szczersza i delikatniejsza, o tyle trudniej zadawalnia się postępowaniem kochanej istoty, o tyle niecierpliwiej pragnie ją udoskonalić. Kto dogadza chorobliwym skłonnościom bliźniego, nie jest jego przyjacielem; jeżeli o lud chodzi, nie jest on patryotą. Szczera przyjaźń i szczery patryotyzm częściej ganią niż chwalą w cztery oczy, broniąc zawsze po za oczyma.

Wprawdzie łatwo wpaść w przeciwny błąd — ganić nadto, komara zmieniać w wielbłąda, sądzić swoje społeczeństwo nakształt srogiego rodzica, co widząc błędy w swojem dziecku prześlepia jego zalety, mierzy je wciąż miarą grzecznych dziatek swoich sąsiadów, nie pomnąc, iż tamte widzi rzadko, gdy mu starannie pokazują ich dobre strony, a złe ukrywają przed nim. Sądzę jednakże, że nie wpadając w ten ostatni błąd, możnaby wypowiedzieć wiele słów życzliwej ale gorzkiej prawdy polskim socyalistom w Ameryce, rządzonym przez dwa internacyonały! Czy wiecie, że niejeden uczciwy ziomek, ale człek ducha wątłego, szukając tam utrzymania dla dziatwy swojej, zmienia nazwisko, wyrzeka się najdroższej spuścizny człowieka i patryoty — imienia ojców i kraju swego— aby uwolnić się od szykan, podejrzeń, poczytywania za członka gmin, wywoływanych z kraju, aby wpaść w szpony socyalizmu, szczepionego w Nowym świecie przez wyrzutki naszej półkuli?

Po tej zbyt długiej może wzmiance o nowej chorobie pomiędzy nieszczęśliwymi braćmi, bardzo pobieżnie mogę wspomnieć o życiu angielskiem, którego kronikę przerwać musiałem. Szczęściem, nie wiele mógłbym był donieść siedząc nawet w Londynie. Parlament rozjechał się w połowie sierpnia, snob'y i filistry londyńskie polują, łażą po Alpach, kąpią się w morzu; Anglia przedstawia dawny rozgardyasz. Naród rozstrojony nie może wydać stanowczego wyroku, któryby kazał zaciekłym partyom milczeć, poświęcić się i działać. Skrajne dyssydenckie żywioły, tak zwani liberalni Anglicy, których nietolerancya prześciga nieraz fanatyzm zaciekłych konserwatystów, wciąż pielgrzymują do Harvarden, zamku pana Gladstona. On, bawiąc się ścinaniem drzew olbrzymich, w spoczynkach grzmi jak Piotr pustelnik, wezwaniami do krucyaty przeciw Turkom. Ostatecznie zaciekł się do śmieszności, nawet zniesławił listami do znakomitych Greków, burząc ich do spiesznego udziału w mordach ku czci Stwórcy i religii. W mniej tolerujących państwach poczytanoby może taką intrygę za zbrodnię stanu, zwłaszcza mężowi, co był pierwszym ministrem i znów mógłby nim zostać. Nawet wywołała ona skandal w Anglii — pod względem politycznym zabiła Gladstona, pomimo że wielbiciele zbierają trzaski z pod jego siekiery, nakształt relikwii świętych. Nawet liberalne pisma wyśmiewają te sceny.

Włoch pyta w każdej intrydze „femina dov'è?“ W Anglii szukajcie sprężyn w religijnych matactwach. Chociażby nawet zewnętrzne okoliczności sprzyjały energicznemu działaniu, trudno działać, gdy część naczelników idzie do Sasa a druga do lasa. Wiadomo wam zapewnie, że markiz Salisbury należy do najskrajniejszych rytualistów coraz groźniejszej i obrzydliwszej potęgi w łonie Anglikanizmu.

W samej armii liczą oni 1000 oficerów na spisie swoich czynnych członków. Na pozór nie jest to stosunek wielki, gdyż maleńka armia angielska posiada 370 pełnych jenerałów (wedle wykazu parlamentu), a oficerów niższych niezliczone stado; jednakże pomnąc, że żołnierze niechętnie łączą się z tego rodzaju żywiołami, łatwo pojąć wpływ rytualistów na społeczeństwo cywilne. Ci ludzie marzą o unii z wschodnim kościołem. Nie dziwcie się, jeżeli część prasy angielskiej wyraża się o was niepochlebniej od *Gołosa*.

Niepopularność księcia Wallii rośnie z dniem każdym. Koło otaczające jego, mianowicie smutnej sławy klub orleański, daje powody do nieustannych zgorszeń. Gdy pani Hungerford została najnowszą przyjaciółką najdostojniejszej osoby, jej mąż uciekł do Francyi z żoną najlepszego swego przyjaciela, panią Tempest. Rozżalony słomiany wdowiec poruszał niebo i ziemię szukając zdrajczyni, a wysokie koła nazywały jego rozpacz „burzą w szklance wody“ — igrając ze znaczenia imienia Tempest, czyli burzy. Najstarszy syn księcia chorował na tyfus; książę pojechał na wyścigi do Deauville i Trouville w Normandyi, słynniejsze ze zjazdu aktorek paryskich, niż z doboru koni. Ojciec biednej księżnej nadjeżdża o tej porze, aby sprawdzić naocznie utrapienia swojej córki. Wnuk chory — matka lamentująca — mąż na wyścigach — dziad zdumiony i zły — *tableau* rodzinne! Księżna wyjeżdża podobno na długo do Danii — wiadomo że księżna edymburska także nie przebywa z mężem.

Tak prawią w klubach, kawiarniach, golarniach nawet. Od lat kilku gmin i kupcy zarzucają królowej jej zbytnią oszczędność, szepcąc, że odkłada 100000 funt. szt. rocznie, że zaniedbując świetność dworu nie pobudza arystokracyi do wydatków, przez co handel cierpi. Nic nie odbierze prędzej możnym osobom popularności, niż posądzenie o zbytnią oszczędność. Najjaśniejsza pani traci popularność. Kto wie jednak, czy jej pieniądze nie zdadzą się potomstwu. Dwór angielski przypomni po jej zgonie epokę rozwiązłych wesołych Stuartów. Gdyby skończył na wzór Stuartów, zapas w banku wyjdzie mu na pożytek.

W Indyach umierają z głodu miliony, więc Anglia znów daje jeden z owych zdumiewających dowodów swojego bogactwa i dobroczynności. Gorliwość osób zbierających składki, tudzież hojność wszystkich warstw tutejszych w takich razach przechodzi — lękam się — pojęcie kontynentalnych ludów. Dodajmy, że w tejże chwili płyną pieniądze niemniej obficie dla Turków i Bułgarów rannych, lub zubożałych klęskami wojny.

Wszystkie troski nie odbiorą Anglikom zamiłowania w igrzyskach atletycznych. Zastałem w Londynie wielką radość — Calvill, atleta i pływak, przepłynął cieśninę kaletańską w 12 godzinach, powtarzając czyn Webb'a, oraz dając wtóry dowód hartu i odwagi synów Albionu. W istocie fizyczne i umysłowe przymioty niektórych Anglików sięgają po za miarę innych ludów. W cóż teraz obróci się sława Leandra?

Nie miałem czasu rozpatrzyć się w literaturze angielskiej z sierpnia, aby się przekonać, czy zajęcie naszem społeczeństwem trwa w niej nieustannie. Wiem, że wyszedł z druku przekład Winety, z niemieckiego, który tylko dlatego podobał się, iż tło ma polskie W pismach naukowych spotykam pochlebne uwzględnienie pracy p. Piątkiewicza ogłoszonej w paryzkich *Comptes Rendues*. Uczony zoolog poprawia w niej niektóre twierdzenia co do układu zębów pewnych przeżuwających, zbijając zdania Darwina o tymże przedmiocie.

Dzienniki angielskie zajmują się nami dość żywo. Pisma przychylne Rosyi wyciągnęły na jaw rozbrat pomiędzy naszemi liberalnemi i ultramontańskiemi warstwami. Organa rządu ogłosiły odezwę londyńskiego Tow. literackiego do Bulgarów, oraz program nowo założonego, patryotycznego, polskiego stowarzyszenia w Londynie, pod honorową prezydencyą hr. Platera, i tytułem „Białego Orła.“ Anglicy stojący wysoko podali myśl tego związku, celem wyzyskiwania kwestyi wschodniej i antagonizmu pomiędzy Anglią i Rossyą na korzyść narodu polskiego. Biuro stowarzyszenia znajduje się w Londynie, 6 Haydon Square, Minories N. Nie śmiem wyrokować, czy i to stowarzyszenie, poczęte z taką zachętą i pomocą, nie rozbije się o szkopuł emigracyjnej niezgody, na sejmiki, kółka i frakcye zniechęcone.

Nie szczerzej ufam sentymentom ministeryalnych gazet angielskich, śledzących pilnie wszystkie objawy waszej agitacyi i z lekka zachęcających do niej. Standard raczył nawet przyrzec ożywienie niezadawnionych traktatów w pewnych wypadkach. Zbyt często słuchałem zwierzeń Anglików, gdy nie wiedzieli, że jestem Polakiem, bym dowierzał Danaom, nawet gdy pochlebne słówka niosą. Z całem mojem uwielbieniem dla rozumu i energii angielskiej, przesiąkłem w szkole życia osobliwym brakiem wiary w ich serca, gdy nie chodzi o swoich, Turków albo Indyan wschodnich. Kto wie, czy bieda obecna nie zmieni ich. Cuda się zdarzają. Ot, profesor Draper w Washingtonie odkrył dwa księżyce przy Marsie najnowszym teleskopem, dla czegożby stosunki i oczy bystre nie znalazły w Anglikach, czego ja nigdy nie umiałem dopatrzyć?

Ale, ale, pisma polskie milczą o tem zadziwiającem amerykańskiem odkryciu, o ile mogę sądzić z tych, które odbieram. Czy nie otrzymały jeszcze wiadomości o niem? Posiada ono zupełnie inne znaczenie, niż odkrycia teleskopijnych planetek, bo włącza Marsa do kategoryi planet z księżycami, więc usuwa jedyny mniemany wyjątek z zasady, że planety zewnętrzne posiadają trabantów. Cały naukowy świat amerykański cieszy się wielce z najnowszego tryumfu swojego astronoma, zasłużonego autora dzieł, podobno i na język polski przełożonych.

WYSTAWA KSIĘGARSKA.

Między wystawcami na tegorocznej wystawie krajowej przyjęli udział i księgarze jako przemysłowcy tj. ci, którzy wydają książki swoim nakładem.

Największa z firm polskich Józefa Zawadzkiego w Wilnie, z filiami w Warszawie i Kijowie, która do ostatniego powstania tak wielką działalność rozwijała, że sama jedna ze swemi wydawnictwami najpoważniejsze miejsce w księgarstwie polskiem zajmowała, od r. 1863 wskutek ucisku moskiewskiego i zakazu wydawania książek polskich na Litwie zmuszona zaniechać swojej działalności i pozwijać filie, nie jest reprezentowaną na naszej wystawie.

Drugie miejsce z wieku i zasługi należy p. J. K. Żupańskiemu z Poznania, który nadesłał niektóre ze swoich cennych nakładów. A jakkolwiek nadesłał tylko niewielką ich liczbę, poważnie jednak się przedstawiają. Nie mamy zamiaru wyliczania ani wszystkich, ani nawet tylko ważniejszych nakładów tej firmy, potrzebowalibyśmy bowiem wypisać cały katalog. Musimy się ograniczyć na ogólnem orzeczeniu, że większa część nakładów J. K. Żupańskiego jest treści poważnej, przeważnie historycznej, między któremi królują Joachima Lelewela dzieła p. t. *Polska Dzieje i Rzeczy Jej* w 20 dużych tomach na ładnym papierze, drukiem pięknym, w wydaniu pod każdym względem starannem. Objętość dzieła, jego niezrównana wartość naukowa i staranne wydanie stawiają to dzieło na czele wszystkich wydawnictw polskich. Taż firma wydała kilkanaście tomów *Pamiętników z 18 wieku*, nader cennych pod względem treści, *Dzieła Karola Libelta*, które obecnie wychodzą w nowem wydaniu (nowego wydania wyszło już tomów sześć, całość zaś obejmuje tomów 18); sześciotomowe dzieło Teodora Morawskiego *Dzieje narodu polskiego* (obecnie wyszło nowe wydanie) i niezliczone mnóstwo dzieł innych, między któremi wymienić jeszcze należy J. I. Kraszewskiego i B. Bolesławity kilkanaście powieści. Wszystkie wydawnictwa Żupańskiego odznaczają się starannem wydaniem. Z wydawnictw tej firmy podnieść należy wydania illustrowane ze stalorytami, miedziorytami, drzeworytami i tp. dzieł Adama Mickiewicza: *Konrad Walenrod*, *Grażyna*, *Twardowski*; Malczewskiego *Marya*; Paska *Pamiętniki*; Bodzantowicza *Zawsze oni*; Czapskiego *Historya konia* z atlasem i t. d. Są to nadzwyczaj kosztowne wydawnictwa, na które nakładca nie wahał się ryzykować po kilka i kilkanaście tysięcy talarów,

*

a którym w literaturze naszej równych nie ma, przynajmniej na tak wielką skalę. Żałować należy, że z wystawy tegorocznej publiczność nie będzie mogła nabrać dokładnego pojęcia o całej działalności tej firmy. Ujemną stroną wydawnictwo p. Żupańskiego jest wysoka cena jego nakładów, nie wyższa wprawdzie od cen książek zagranicznych, ale wyższa od polskich. Wszakże zarzut ten jest bardzo względnym, gdyby bowiem nakładca nie stosował się do miejscowych stosunków i nie nakładał ceny, jakiej okoliczności wymagają, nietylko niemógłby tak starannych robić wydań, ale wcale nie mógłby rozwinąć tej działalności tak pożytecznej dla kraju i ojczystego piśmiennictwa i oświaty, jaką od lat kilkudziesięciu rozwija. Jedno z pierwszych, a względnie do czasu istnienia tej firmy najpierwsze miejsce pod względem ilości nakładów zajmuje w księgarstwie polskiem firma pp. Gebethner i Wolff w Warszawie, która także jest reprezentowaną na naszej wystawie i także z nadesłanych nielicznych nakładów nie daje miary swojej działalności. Wydawnictwa tej firmy z samych warunków cenzuralnych nie mogą mieć tej poważnej natury co firmy poprzedniej, niemniej jednak w warunkach możliwych odznaczają się doborem rzeczy cennych. Księgarnia Gebethnera i Wolffa nie ma żadnej specyalności tj. zarówno wydaje dzieła w różnych gałęziach literatury. Największa jednak jej zasługa polega na wydaniu wielkiej liczby książek dla dzieci i młodzieży. Wszystkie te książki odznaczają się starannym wyborem, pięknem wydaniem tak pod względem papieru, druku i illustracyi, jak stosownych ładnych opraw. Bardzo cenne prace Anczyca, Chęcińskiego, Meyne Reyda i wielu, wielu innych składają się na tem bogaty zbiór książek dla młodzieży, jakie ta firma wydała. Wycofać z obiegu książki dla młodzieży przez tę firmę wydane, a literatura temu wiekowi poświęcona stanie się uboższą więcej jak o połowę, a gdy odejmiemy jeszcze i te rzeczy, które wydane zostały tylko wskutek naturalnego współzawodnictwa innych księgarzy z tą firmą, literatura dziecinna zubożeje zupełnie. Z tego można ocenić doniosłość zasług przez pp. Gebethnera i Wolffa położonych w tym dziale wydawnictw, w dziale bardzo ważnym. Taż firma wydała kilka książek do nabożeństwa, jak *Ołtarzyk rzymsko katolicki*, *Módlmy się*, *Cicha łza*, *Zdrowaś Marya*, *Pod twoją obronę*, *Książeczka do nabożeństwa dla dzieci Mętlewicza*, i inne. W wydawnictwie tem nie ilość wydanych książek podnosimy, bo są firmy, które nierównie więcej wydały spekulując na szerokie koła kupujących, ale staranność wydania i estetyczne względy. Wszystkie inne wydania książek do nabożeństwa, z małymi wyjątkami, nietylko nie wytrzymują porównania z wydawnictwami tej firmy, ale rażący kontrast stanowią. Gdy się zważy, że książka do nabożeństwa odpowiada potrzebie wszystkich sfer społecznych, że jest niejako dla świątecznego użytku przeznaczoną, to nie można odmówić zasługi wydawcy, który się starał nadać jej kształt jak najprzyjemniejszy. Zasługa tu jest także i introligatora i trzeba przyznać, że introligatorzy warszawscy dorównywają lipskim, berlińskim i paryzkim. Nie skończylibyśmy prędko, gdybyśmy chcieli wyliczać wydawnictwa tej firmy. Wydała ona bardzo wiele powieści J. I. Kraszewskiego, J. Zacharjasiewicza, E. Orzeszkowej i td. Dużo dzieł rolniczych, literackich, historycznych i td. i td. Do największych wydawnictw tej firmy należą zbiorowe wydania dzieł *Szopena*, tak całego kompletu w 6 tomach, jak i według treści *Mazurki*, *Polki*, *Walce*, *Nocturny* i t. d. zbiorowo i pojedyńczo, oraz polskiej mapy Europy w małem wydaniu po 50 ct. i dużem na 4 arkuszach Stroynowskiego.

W Galicyi żadna dotąd firma nie zajęła tak wybitnego stanowiska jak powyższe, raz, że wszystkie tutejsze księgarnie z wyjątkiem Karola Wilda są młode i nie wiele lat egzystencyi liczą (F. H. Richter zaledwie lat 10, Gubrynowicz i Schmidt 9, Seyfarth i Czajkowski 9, Księgarnia Polska 6, Wład. Bełzy 2.) i powtóre, że księgarnie tutejsze znajdują się w najniekorzystniejszych warunkach, bo gdy pod Zaborem moskiewskim wychodzące książki mają odbyt w całej Polsce, gdy wydawnictwa poznańskie mogą przynajmniej liczyć na zbyt w Zaborze pruskim i austryackim, nasze wydawnictwa mogą się tylko w Galicyi sprzedawać, do Warszawy bowiem większa część z powodów cenzuralnych nie bywa wpuszczaną a w Poznańskiem panuje zaściankowy patryotyzm, którym się powodując tameczni mieszkańcy kupują tylko te książki, które wyszły z druku w Poznaniu. Uważaliśmy za potrzebne wypowiedzieć powyższe uwagi, aby publiczność w sądach swoich miała na uwadze nadzwyczaj trudne warunki tutejszych nakładców i nie wymagała od nich tak rozwiniętej działalności, jaka jest u nas nie możliwą w obecnych stosunkach.

Najstarsza z firm lwowskich i do niedawna najczynniejsza, Karola Wilda, wystawiła bogaty zbiór swoich nakładów. Są to po większej części książki szkolne, powieści pierwszorzędnych pisarzy, wyborowe poezye, jako też nie mało nakładów i z innych działów piśmiennictwa. Nie będziemy tu poszczególnie wyliczać nakładów tej firmy, gdyż są to w ogóle rzeczy już nie nowe, ponieważ działalność tej księgarni w ostatnich latach znacznie osłabła i mało nowych rzeczy obecnie wydaje. Wogóle wszystkie wydawnictwa p. Wilda zasługują na uznanie, żadnej lichoty, wszędzie przebija obywatelska gorliwość wydawcy aby to, co z takim trudem przychodzi się u nas wydawać, miało pożytek dla społeczeństwa.

Księgarnia F. H. Richtera, która początkowo wielką żywotność okazywała, także obecnie mniej produkuje. Wydawnictwo *Strzechy* illustrowanego czasopisma powieściowego, którego wyszło kilka roczników, a każdy zawiera bogatą treść zwłaszcza powieściową i *Biblioteki Narodowej*, przeważnie powieściowej, ustało. Obecnie wydaje ta firma zbiorowe wydania dzieł *Wincentego Pola*, ktorych już wyszło z druku tomów 8. Wszystkie powyższe nakłady p, Richtera odznaczają się starannem wydaniem, pięknym papierem i ozdobnym drukiem. Oprócz tych rzeczy firma ta wydała jeszcze nie mało mniejszych i większych dzieł, a w ostatnich czasach nabyła i kontynuje wydawnictwo *Biblioteki historycznych romansów polskich*. Wogóle własne nakłady tej firmy mają wartość literacką i wyróżniają się pięknem wydaniem.

Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta dopiero od lat paru rozwinęła swoję działalność wydawniczą i to na wielką skalę, tak, że obok Karola Wilda i Księgarni Polskiej wydała najwięcej książek. Do ważniejszych wydawnictw zaliczyć należy *Bibliotekę polską*, w której wyszły poezye Zygmunta Krasińskiego 2 tomy i Bohdana Zaleskiego 4 tomy. Nabyła od p. Rogosza wydawnictwo zbiorowe powieści J. I. Kraszewskiego i czas jakiś je kontynuowała. Wydała kilka dzieł treści rolniczej bardzo praktycznych. Oprócz powyższych księgarnia ta wydała wiele książek różnej treści, zwłaszcza powieści tłumaczonych, a między niemi kilka oryginalnych. Nie wszystkie jednak nakłady tej firmy mają wartość i nie wszystkie warto było wydawać, jak np. Bibl. pow. i rom. tłumaczonych.

Księgarnia Seyfartha i Czajkowskiego nie może się poszczycić wielką ilością wydanych książek, wszakże nakłady jej mają praktyczną wartość. Do takich zaliczyć należy Lubienieckiego *Pszczelnictwo* 3 tomy, Rosenberga-Lipińskiego *Wykład uprawy roli*, Waigla *O szkodnikach pól naszych*, Tatomira *Najnowsze odkrycia* i tp. Oprócz powyższych księgarnia ta obok Karola Wilda wydała najwięcej książek szkolnych.

Księgarnia Wł. Bełzy, jakkolwiek nie długi żywot liczy, nie małą już jednak posiada ilość nakładów. Są to po większej części dziełka małe, elegancko wydane. Na szczególną uwagę zasługuje wydawnictwo czasopisma dla dzieci pt. *Towarzysz pilnych dzieci*, które wydawała w pierwszym roku wspólnie z Księg. Polską a obecnie objęła wydawnictwo sama. W ostatnich czasach nakładem tej firmy wyszły W. Dzieduszyckiego *Ateny* i Dra J. S. Sawickiego *Rady dla młodych mężatek* (oprawne).

Księgarnia Polska... pro domo sua pisać nam nie wypada. Pozostawiając więc sąd o wartości działalności naszej firmy innym, wyliczymy tylko ważniejsze nasze wydawnictwa: *Biblioteka historyczna*, w której wychodzą *Dzieje powszechne* Szlossera. Już wyszło tomów 19 wszystkich ma być 22. Gralewskiego *Kaukaz*, *Żydzień*, który łaskawy czytelnik ma przed oczami, z dodatkiem illustrowanym *Wystawa Krajowa*. *Biblioteka Mrówki* tanie wydawnictwo rzeczy wyborowych. Dotąd wyszło 52 tomiki. *Biblioteka teatrzyków dla dzieci*, owoc trzech konkursów rozpisanych przez Księgarnię Polską. Do najważniejszych dzieł, tak pod względem wartości, jak i ryzyka, wydanych nakładem naszej firmy, zaliczamy *Dzieła Karola Darwina*. Na ogół wyszło nakładem Księgarni Polskiej większej i mniejszej objętości 108 dzieł w 134 tomach.

Mówiąc o wydawnictwach lwowskich nie możemy przemilczeć o tych, którzy te wydawnictwa ubierają w szaty tj. o pracowniach introligatorskich pp. Staneckiego i Tillingera. Dość jest wskazać na oprawy Szlossera, Wieczornych pieśni, Działów w dziale Księgarni Polskiej, Wincentego Pola w dziale F. H. Richtera, aby każdego przekonać, że oprawy lwowskie nie ustępują zagranicznym, ani pod względem gustu, ani trwałości.

Z warszawskich nakładów nadesłali na wystawę swoje nakłady księgarnia Heisiga (umieszczone są na wystawie księg. Seyfartha i Czajkowskiego), wydawca Tygodnika illustrowanego J. Unger (umieszczone są razem z nakładami Gebethnera i Wolffa na wystawie księg. Gubrynowicza i Schmidta).

Towarzystwa Proświty wydawnictwa ludowe wczęści są na wystawie księg. Gubrynowicza i Schmidta, wczęści na wystawie księg. Seyfartha i Czajkowskiego.

Hipolit Stupnicki zgromadził 26 roczników Przyjaciela domowego, i wszystkie inne swoje wydawnictwa od ćwierćwieku podejmowane.

Z prowincyi tylko Rozenheim z Brodów nadesłał swoje nakłady na wystawę, a między temi zasługuje na wyszczególnienie 6 tomików *Biblioteki dla młodzieży*.

Niektórzy z księgarzy przyozdobili swoje

wystawy globusami, bylibyśmy tem mocno zbudowani, gdyby to był ich produkt. Niestety! jest to produkt zagraniczny.

TEATR.

(Pan Damazy, komedya w 4 aktach przez Józefa Blizińskiego, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie krakowskim, a przedstawiona we Lwowie po raz pierwszy 14go września 1877.)

Społeczeństwo nasze, pomimo wielu zmian i przewrotów, jakie w niem zaszły od stu lat blisko, nie przestało być szlacheckiem. Żywioł, który przez tyle set lat sam jeden stanowił naród i rządził państwem, a przynajmniej sam się rządził w państwie, żywioł ten i w nowych warunkach, to jest po rozbiorze Polski i obaleniu feudalnych urządzeń w Europie, nie mógł nie odgrywać głównej roli w narodzie, a to tem bardziej, że z dwóch innych stanów, stan miejski był nader szczupłym i ubogim, stan zaś chłopski dla braku oświaty i był i jest do dziś jeszcze małoletnim. Straciły wprawdzie moc swoję przywileje szlacheckie, stan miejski znacznie się rozrósł, a warstwa inteligencyi, jeżeli to warstwą nazwać można, kojarzy i łączy w swojem łonie najrozmaitsze żywioły stanowe, i zdaje się być przeznaczoną do przetrawienia różnorodnych części składowych narodu w jednolite ciało: przecież wszystko, cokolwiek idzie w górę, przybiera barwę i obyczaj szlachecki, wciąga w siebie mimowoli resztki przesądów i zabytki tradycyjnych cnót szlacheckich, jednem słowem szlachci się. Całe życie towarzyskie i obyczajowe naszego narodu we wszystkich warstwach, co choć trochę odskoczyły od ziemi, ba nawet już zrzadka i w wiejskich chatach, gdzie zamożność pozwala na myśl swobodną i ozdobienie życia, nosi charakter wybitnie szlachecki.

Czy może więc być dla nas jaki typ zrozumialszy, milszy i bardziej zajmujący od dodatniego typu szlachcica starej daty z tradycyjnemi swemi cechami i cnotami?

Takim właśnie typem jest Pan Damazy. Nie łatwo go już dziś może odszukać w życiu w takiej czystości; przynajmniej w niektórych prowincyach Polski należy on już dziś do wielkich rzadkości, ale za to tam właśnie najpożądańszym może jest jego obraz.

Pan Damazy jest szlachcicem małowioskowym „miernego stanika," jakby powiedział Rey, z którego „poczciwym szlachcicem" nasz bohater ma nie mało wspólnego. Nie podróżował on wprawdzie za granicą, nie wiemy, czy i szablę przypasywał do boku, naukami się „nie parał," o! jest nawet bardzo nieuczony! ale uczciwość ma reyowską w sobie, reyowskie serce, reyowską otwartość, a przedewszystkiem wiernie się trzyma reyowskiej zasady: przestawać na swojem. Uczciwość w nim niewyrozumowana, nie przyniesiona doświadczeniem, nie zaczerpnął jej z książek, ani z kazań, ale wyssał ją z mlekiem matki, wzrastał nią otoczony zewsząd w domu rodzicielskim, tak że stała się dla niego powietrzem, bez któregoby oddychać nie potrafił. Jeżeli brak mu naukowego wykształcenia, to za to jak doskonałą jest jego szczerość i naiwność, a jeżeli jest łatwowiernym, to dla tego tylko, że sam będąc nawskróś uczciwym nie posądza innych o nieuczciwe zamiary. Nie jest on jednak wcale ograniczonym i poznawszy ludzi bliżej, umie wydać trafny sąd o nich, a przytem z takim humorem, jakiegoby się i sam śp. pan Pasek nie powstydził.

Pan Damazy ma córkę Halę, to jest Helenę. Dziewczątko to z parafiańskiego wychowania, z naiwnego wdzięku przypomina mickiewiczowską Zosię. Naiwność i wstydliwość dziewczęca łączy się w niej ze swawolą kotka, ze swobodą pieszczonego dziecka i z wrodzoną przebiegłością kobiety. Pan Damazy i Hala stanowią nieopisanie wdzięczną grupę. Ojciec ją nieraz ofuknie, nieraz da szorstką odprawę, ale pod tą szorstką powłoką ile się tai rodzicielskiej miłości!

Pan Antoni może być także przydzielonym do tej grupy. Jest to szlachetny, nie bogaty młodzieniec, kochający Halę, która mu odpłaca wzajemnością. Antoni nie ma wybitniejszej charakterystyki i jakkolwiek pierwszy kochanek sztuki, stoi w niej na drugim planie.

Naprzeciw tej grupy dodatnich postaci ustawia autor grupę postaci ujemnych. Do tej ostatniej należy Rejent, Żegocina i Seweryn. Jak dwie te grupy w całości wzięte, tak i pojedynczo brane pary po jednej osobie z każdej grupy, stanowią wyborny kontrast. Główną osobą w ujemnej grupie i w ogóle najważniejszą postacią w sztuce po panu Damazym jest jego bratowa pani Żegocina. Scharakteryzował ją nasz szlachcic, mówiąc, że gdy chce być słodką, to choć ją do rany przyłóż, ale gdyby tak utłuc ją w moździerzu na proszek, to tym proszkiem co najmniej pół powiatu wytrućby można. Jest to wielka, światowa pani, przynajmniej w porównaniu z parafianką Halą. Z przeszłości jej wiemy, że będąc ubogą panną, „poświeciła się" i wyszła za mąż za starego i bogatego Żegotę, brata pana Damazego, i że wskutek jej wpływu na męża, bracia przestali bywać u siebie. Teraz jest młodą i bezdzietną wdową i chodzi jej o to, aby zatrzymać przy sobie cały majątek mężowski, który podług prawa powinien należeć do niej tylko w czwartej części, jako dożywocie, w trzech czwartych zaś przypaść na najbliższych spadkobierców, to jest pana Damazego i Halę. Ale pani Żegocina ogłosiła, że ma testament mężowski, który cały majątek zostawia jej w dożywocie, a pan Damazy, choć zna Żegocinę, ani przypuszcza oszustwa, bo przecież prędzej czy później trzeba będzie pokazać testament.

Ulubieńcem Żegociny jest jej siostrzeniec a brat Antoniego, Seweryn. Jest to pasożyt, który własną pracą żyć nie potrafi, ale umie nagiąć się do każdej sytuacyi i każdą wyzyskać. Jest to przytem filozof, umiejący wybornie zwalać winę swoich podłości na świat i ludzi. Wisi teraz przy bogatej ciotce i schlebia jej, ztąd też jest jej ulubieńcem. Bawi przy ciotce, w roli raczej sługi, niż przyjaciółki, uboga krewna jej męża, młoda i przystojna dziewczyna, nazywana pogardliwie spieszczonem imieniem: Mańka; Seweryn bałamuci dziewczynę, ani myśląc o tem, aby się z nią ożenić, a Mańka na dobre pokochała ładnego i gładkiego panicza. Tymczasem ciotka Żegocina, obawiając się utracenia majątku mężowskiego (testamentu bowiem żadnego nie było) chce Sewerynowi wyswatać Halę, i za pomocą tego małżeństwa, w sposób zresztą nie zupełnie jasny, utrzymać się w dożywotnem posiadaniu całego majątku. Seweryn na daną wskazówkę natychmiast zwraca się z konkurami do wyśmiewanej przez się parafianki, najfilozoficzniej tłumacząc przed sobą i zdradzoną Mańką tę nagłą zmianę frontu.

Trzecią postacią ujemnej grupy, con amore wycieniowaną, jest pan rejent Bajdalski. Jest to człowiek bardzo światły, biegły znawca prawa, lubiący także filozofować i poruszać najgłębsze zagadnienia, szczególnie przy majonesie i kieliszku dobrego wina. Pani Żegocina wezwała go na konsultacyę w sprawie owego mniemanego testamentu i małżeństwa Seweryna z Halą. Pan rejent był także pewnym istnienia testamentu; wiadomość o tem, że go nie ma wcale, jest dlań wielkiem odkryciem. Postanawia on we własnym interesie skorzystać z tej wiadomości, póki ona jest tajemnicą dla Damazego i wyswatać Halę, prawną dziedziczkę znacznej fortuny, swojemu synowi, inżynierowi mieszkającemu w Warszawie, do którego telegrafuje, aby natychmiast przyjeżdżał.

Genio, syn rejenta, stosownie do rozkazu ojca natychmiast przyjechał, poznał Halę i zakochał się — w zdradzonej i opuszczonej przez Seweryna Mańce. Genio jest przedstawicielem młodego, żwawego i postępowego żywiołu warszawskiego. Ojciec oburza się na niego, że „pozytywista," zakochał się w ubogiej dziewczynie, a nie myśli o ułowieniu tak *pozytywnej* rzeczy, jak posag Hali. Genio nie wypiera się pozytywizmu, ale tłumaczy ojcu, że pozytywizm, który każe budować teorye na szerokiej podstawie faktów, a nie fakta przyczepiać do gotowych teoryi, uznaje uczucia serdeczne za równie dobre fakta, jak pokłady geologiczne, a roskosze i przyjemności pożycia z ukochaną osobą uważa za daleko większą rentę od renty największego posagu.

Jeżeli do skreślonych już postaci dodam jeszcze postać pani Tykalskiej, siostry Żegociny, dobrodusznej, cichej, nikomu nie zawadzającej staruszki, to galerya osób występujących w komedyi będzie zamkniętą.

(Dok. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 8. września.

Przechadzka po wystawie.

(T.) Oblicze naszej wystawy zmieniło się nieco od przeszłego tygodnia; wypełniły się niektóre działy, naprzykład górniczy, rolniczy i drzewny. Poprzybywały niektóre szczegóły odosobnione, jak wystawa polerowanych granitów i labradoru z pracowni pana Schimsera we Lwowie, wystawa mosiężnych wyrobów p. Bratkowskiego i inne. Najważniejszą atoli zmianą jest wyprowadzenie koni i wprowadzenie krów na ich miejsce. Ta część wystawy zatem, wojowniczo przedtem wyglądająca, przybrała teraz charakter idyliczny, tem bardziej, że przy krowach uwijają się krasno poubierane Maryśki.

Królikarnia istnieje jeszcze od przeszłego tygodnia i nie przestaje ściągać ciekawych. Chów królików, znany już dawno w Zachodniej Galicyi i przynoszący tam znaczne dochody, dla wschodniej jest nowością, ale wystawa lwowska bezwątpienia bardzo wiele wpłynie na rozpowszechnienie tego chowu i w tej części naszej prowincyi. Każdy zwiedzający królikarnię ma sposobność naocznie się przekonać, ile to korzyści przynosi to niewinne i tanim kosztem karmione zwierzątko. Bo to oprócz smacznego mięsa, bardzo zbliżonego smakiem do zająca, można mieć dochód ze skór króliczych, a z króliczej sierci można wyrabiać bardzo ciepłe rękawice, szkarpetki i rozmaite inne rzeczy.

Jeżeli od królikarni przejdziemy w przeciwległy kąt wystawy, to znajdziemy się przy akwaryum i wielkiej trąbie, obwieszczającej codzień ludowi lwowskiemu czas otwarcia i zamknięcia wystawy. Ta trąba nie posiada wcale melodyjnego głosu, i owszem głosem swoim może dać wyobrażenie o tych trąbach archanielskich, które w dniu ostatecznego sądu zatrąbią na grzeszników, skazanych na wieczne potępienie, (wyobrażam sobie, że trąbienie to wyda się grzesznikom okropnie przeraźliwem); otóż pomimo swego niezbyt przyjemnego głosu, trąba wystawowa jest w pewnej mierze przedmiotem chluby dla Lwowian, i każdy dobry Lwowianin nie może bez zadowolenia spoglądać na tę wysoką machinę, która dwa razy na dzień donośnym acz przerażającym głosem obwieszcza światu chwałę lwowskiej wystawy. Właściwie mówiąc, głos ten należałoby nazwać rykiem; wydobywa się on siłą pary, puszczanej w trąbę, ale znam kogoś, który myślał, że do trąbienia na tym instrumencie, wydającym tak dzikie głosy, używa się krokodyl umieszczony w pobliżu przy akwaryum.

Przy akwaryum, które wystawa zawdzięcza naszemu czcigodnemu prof. Syrskiemu, wciąż także pełno gości. Niektórzy wracają rozczarowani ztamtąd, gdyż nie znaleźli tam nic nadzwyczajnego, a same takie tylko ryby, które można łowić w naszych rzekach i stawach. Ależ, panowie i panie! przecież o nic innego nie chodziło, jak o pokazanie ryb i żyjątek wodnych, jakie się w naszych wodach znajdują. Dla takich to gości, którzy chcą widzieć koniecznie coś nadzwyczajnego, umieszczono przy akwaryum krokodyla.

* * *

Z wystawy sztuk pięknych. Mówiliśmy już, a przynajmniej wspomnieli w dwóch ostatnich

numerach „Tygodnia“ o najlepszych rzeczach, jakie posiada tegoroczna wystawa. Do lepszych utworów potrzeba zaliczyć niektóre obrazy Gersona, Grabowskiego Andrzeja, Kotsisa i Łosia. Kossak dał kilka drobnostek bez większej wartości.

Łokietek Gersona znany jest aż nadto dobrze z zalet swoich, mianowicie z legendowego swego kolorytu, nie będę więc o nim mówił; chyba to tylko powiem, że obraz ten, ofiarowany przez samegoż artystę na rzecz fundacyi imienia Karola Szajnochy, spieniężony będzie za pomocą loteryi i że losy są do nabycia w kancelaryi Tow. przyj. sztuk pięknych po 50 ct. za sztukę. Ale Gersona „Kopernik wśród znakomitości współczesnych,“ po raz pierwszy staje na naszej wystawie. Obraz to wielkich rozmiarów, poważny, z poprawnem ugrupowaniem osób — zimno jednak jakieś wieje z niego. Twarz Kopernika młoda, czerstwa, przyjemna, ale nie ma na niej piętna geniuszu i to zapewne najwięcej przyczynia się do tego wrażenia chłodu, jakiem obraz przejmuje; brak też niektórym postaciom naturalności. Już to w ogóle Kopernik nie udaje się naszym malarzom, bo i Matejki obraz przedstawiający naszego astronoma na wieży frauenburskiej, w dziwnie teatralnej pozie, bodaj czy nie jest najsłabszym utworem krakowskiego mistrza.

Grabowskiego Andrzeja „Miodek staropolski“ przedstawia szlachcica z kieliszkiem starego, ciemnego jak smoła, miodku, nalanego z omszonej butelki, która stoi przed nim na stole. Pod względem technicznym, o ile się znam na tem, nie można nic zarzucić p. Grabowskiemu, wszystko tu jest drobiazgowo wykończone, ale przyjemniejby było widzowi, gdyby artysta skojarzył był z pojęciem miodku staropolskiego jakąś serdeczniejszą minę szlachecką, bo ta zbyt przypomina jarmarkowego wydrwigrosza.

Utworów nieboszczyka Kotsisa mamy aż cztery: Żydzi w bożnicy, Staruszka pomagająca wykluwać się pisklętom, Przewrócona maślnica i Kuchareczka z nożem. Z utworów p. Łosia zwraca na siebie przychylną uwagę „Pojenie koni.“

Historycznych obrazów z wielkiemi pretensyami mamy sporo w tym roku, ale dziwnie nam nie dopisały. Na czele tej niefortunnej falangi stoi p. Bronisław Abramowicz ze swoją „Ucztą Wierzynka,“ która kosztuje niemal tyle, co kosztowała samego Wierzynka, bo aż 6.000 złr. Jest to najdroższy i bodaj czy nie najlichszy ze wszystkich obrazów tegorocznej wystawy, choć w tym ostatnim względzie współzawodniczy z nim kilka innych. Piszemy o nim, bo jest wielki, i tak swymi rozmiarami, jak jaskrawością kolorów, jak wreszcie samym tematem, ściąga do siebie widzów. Kto chce widzieć, jak nieudolność sili się na rzeczy niedostępne dla siebie, niech spojrzy na „Ucztę“ i niech ma odstraszającą naukę. Szczególną właściwością figur p. Abramowicza jest to, że prawie nie mają karków, a głowa wprost osadzoną jest na tułowie, i nie pojmujemy jak Kazimierz W. i cesarz Karol IV. przy tak niebezpiecznej budowie ciała mogli dożyć lat sędziwych. O innych właściwościach Uczty, o trudnej do zrozumienia postawie Wierzynka, o wdzięcznym orszaku niewiast, o perspektywie itd. itd. nie piszemy, bo by to nam za wiele papieru zajęło. To tylko dodać musimy, że Uczta Wierzynka wygląda jak karykatura na historyczne malarstwo.

Lepszym jest zapewne „Żółkiewski pod Cecorą“ p. Walerego Eliasza, już choćby dla tego, że sześć razy mniej się ceni (1.000 złr.), a jednak, dalipan, zamiast tragicznego, jakby należało, komiczne sprawia wrażenie. P. Eliasz chciał się wiernie zastosować do kroniki, z której wypis dołączył do swego obrazu, ale wolałby być mniej wiernym kronice, a za to wierniejszym naturze. Nie będę się wdawał w krytykę obrazu, wskażę tylko na jedną figurę, mianowicie na towarzysza Żółkiewskiego z lewej strony od widza; nie można się nie uśmiechnąć patrząc na jego ruchy i jego jakieś nieskończone nogi.

* * *

Koncerta Friemana. Wystawie, która ściągnęła do nas mnóstwo różnorodnych znakomitości, ministrów, literatów, artystów, zawdzięczamy także i dwa koncerta (12 i 17 września) znakomitego skrzypka naszego, pana Friemana.

Jak Farys z koniem, tak skrzypek ze swoim instrumentem zdają się stanowić jedno ciało, a przynajmniej zdaje się, że część duszy skrzypka przelewa się w instrument wskutek długiego z nim obcowania, aby potem, tknięta smyczkiem, właściwym sobie odzywała się głosem. Jeżeli tak nie jest, to znów chyba musimy przypuścić, że martwy instrument odgrywa wielką rolę w tej różnicy, jaka zachodzi między tonami rozmaitych mistrzów.

Weźmy naprzykład Wilhelmiego, Wieniawskiego i Friemana (wszystkich trzech słyszeliśmy we Lwowie) postawmy ich obok siebie i prośmy aby nam co zagrali po kolei. Wilhelmiego skrzypce będą gadały, jęczały, śpiewały głosem żywych istot, u Wieniawskiego struny tknięte smyczkiem zamienią się w złoto i jakieś metaliczne wydają dźwięki. A u Friemana? Znowu co innego. Nie metal, ani głosy żywe, ale jakieś szklanne, kryształowe odezwą się dźwięki.

Nie wiem, jak technicznie nazywa się to, o czem mówię; jabym to nazwał materyałem tonów. Otóż jakim sposobem ten materyał innym jest pod ręką każdego z artystów, pomimo iż wydobywa się z podobnych do siebie drewnianych piersi instrumentu, to pozostaje tajemnicą tych panów. Dość, że z pod smyczka pana Friemana wypływają tony zupełnie niepodobne do tonów Wieniawskiego i Wilhelmiego, ale mimo to równie piękne jak tamte, choć po swojemu; tony przeźroczyste, pełne, jakby wilgocią nasycone, które szczególnie w pianissimach stają się do złudzenia szklannymi.

Złożywszy hołd talentowi pana Friemana, który jako człowiek młody, ma jeszcze świetną przyszłość przed sobą, chcę się z nim pokłócić o programy dwóch jego koncertów, które naprzód zbyt były do siebie podobne, powtóre zbyt krótkie i pokawałeczkowane, po trzecie za wiele zawierały w sobie własnych kompozycyi koncertanta, za mało uznanych arcydzieł muzycznych. Z drugiej strony jednak za dobre należy poczytać koncertantowi, że nie wziął do programu, jak to czynią wielcy i mali skrzypiciele, owych kawałków z rozmaitemi sztuczkami, w których nie ma za grosz melodyi, a chodzi tylko o pokonanie trudności technicznych, o naśladowanie np. dzwonka itp.

Co się tyczy własnych kompozycyi koncertanta, odegranych przez niego, a mianowicie wielkiego poloneza „Cześć wystawie“, ofiarowanego czcigodnemu prezesowi wystawy, hr. Włod. Dzieduszyckiemu, to my Lwowianie chlubiący się swoją wystawą, jak rodzice córką na wydaniu, nie możemy nie czuć wdzięczności za honory jej okazywane i istotnie wdzięczni jesteśmy panu Friemanowi za napisanie wielkiego poloneza. Ale gdyby nas grzeczność nie miała zaślepiać, to musielibyśmy powiedzieć, że polonez ów jest dość miernym utworem. Bardzo pięknym zato, melodyjnym, rzewnym i prześlicznie odegranym przez koncertanta urywkiem było jego „Wyznanie“ a dziarskiem, aż miło, mazurem jest jego „Wspomnienie Krynicy“.

* *

Od pana Mateusza Gralewskiego otrzymaliśmy następujące sprostowanie:

„W 1ym numerze pisma „Tydzień“ umieszczono recenzyą dziełka mego o Kaukazie. Zauważyłem, że recenzent nieco je pobieżnie przeglądał. Wzmiankując bowiem o uroczystości Szachseja a raczej Szach-Hussejna, powiada, że inny obrząd widział w Szuszy i że inaczej też opisał go niemiecki pisarz Hextausen. Przypuszcza tylko, że obrzęd ten może być faktycznym, jeżeli on podlega zmianom. Otóż właśnie tak jest, bo widziany przezemnie obrzęd w Derbencie odbywał się w meczetach bez publicznej procesyi po ulicach i bez przelewu krwi, czego miejscowa władza srodze wzbraniała, obawiając się jakiego fanatycznego wybuchu wewnątrz obwarowanego miasta. Inaczej ten obrzęd przedstawiał się w Kubie, a który szczegółowo opisałem. Zastrzegłem jednak zaraz o zmienności obrzędu, na stronicy bowiem 158 wydrukowałem te wyrazy: „Ale i ta tragedya meczetowa przedstawiana z różnemi *co rok i co miasto zmianami*, na dziesiąty dzień w południe przenosi się na plac meczetowy“.

Co zaś do zarzutu jakobym uważał błędnie Hadżi-Imaila i Chas-Machometa za twórców miurydyzmu, bo recenzent dowodzi na podstawie księgi gruzińskiej, że takowy istniał już dawniej w Persyi, odpowiem, że i tu błędu nie popełniłem. Najprzód w nagłówku ustępu napisałem ten tytuł: „*Wskrzesiciele miurydyzmu*“; a dalej na stronicy 192, podałem słowa Mułły-Machometa do Chas-Machometa: „Wiem tylko, że taka nauka przebywała przed trzema wiekami w Persyi między mędrcami, zwanymi miurzydami i że ich wpływ i ich *miurydów* (zwolenników) *był tak potężny*, że miurszyd Sofi Izmail zawładnął tronem Szachów“.

Mateusz Gralewski.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Butlerów A.* Pszczoła, jej życie i główne prawidła rozumowanego hodowania pszczół. Tłumaczył B. Grabowski z dodaniem 42 rysunków w tekście i uzupełnił uwagami wraz z dodatkiem dzieła pt. Rozmaite sposoby sztucznego rozmnażania pszczół oraz inne uwagi, które pszczolarz koniecznie znać powinien. 8ka str. 132 i 26. Suwałki 1877 2 złr.

— *Dembińskiego Henryka Jenerała* Pamiętniki o powstaniu w Polsce r. 1830—31. Wydanie II. 2 tomy. 8ka str. 355 480. Kraków 1877 4 złr.

— *Gindeli Ant. Dr. Prof.* Dzieje powszechne dla wyższych klas szkół średnich przełożył według czwartego wydania M. Markiewicz. Tom III. Dzieje nowożytne. Zeszyt I. 8ka str. 96. Rzeszów 1877 z porachowaniem za całość 1. 80 ct.

— *Ochorowicz Julian.* O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii. Dwa odczyty publiczne wypowiedziane w Warszawie i we Lwowie w Kwietniu i w maju 1877. 8ka str. 108. Lwów 1877. 90 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— *O kasach oszczędności w Galicyi w r. 1876 napisał dr. Tadeusz Skałkowski. Lwów. 1877.* W roku 1831 istniało w całej Europie tylko 693 kas oszczędności, z tej liczby na Austryę przypada 17, a na Galicyę 1 we Lwowie jako filia wiedeńskiej. Istniejąca dziś kasa oszczędności we Lwowie założoną została w latach 1842—1844. W r. 1875 istniało już w Galicyi 13 kas oszczędności: w Tarnowie założona w 1861 r., w Rzeszowie 1862, w Samborze 1864, w Krakowie 1866, w Stryju 1867, w Przemyślu, Stanisławowie i Jaśle 1868, w Tarnopolu 1870, w Nowym Sączu 1871, w Bochni 1873, w Kołomyi w 1875, w Wadowicach 1876. W roku 1844 suma wkładek oszczędności wynosiła 955.278 złr., w roku 1876 18,233.052 złr. Szacowną pracę p. Skałkowskiego polecamy uwadze światłych obywateli, którym dobro kraju leży na sercu.

— *O kredycie rolniczym w Galicyi napisał dr. Tadeusz Skałkowski. Lwów 1877.* Niezmiernej doniosłości sprawa ułatwienia kredytu taniego klasom uboższym w kraju naszym spowodowała sejm i wydział krajowy do wysadzenia ankiety w celu obmyślenia odpowiednich środków, a to tem bardziej, że działalność banku włościańskiego nie zaradziła potrzebie. Autor z gruntowną znajomością stosunków krajowych i traktowanego przedmiotu, opierając się na doświadczeniu w innych prowincyach polskich i za granicą rozpatruje rzecz i przychodzi do konkluzyi zgodnych z rezultatami prac ankiety tj. uznaje potrzebę założenia zakładu hipotecznego. Tymczasowo zaś Wydział krajowy powinienby udzielać pożyczki bezpośrednio towarzystwom zaliczkowym.

— W Krakowie nakładem autora wyszło dzieło pt. *Psychologia, napisał dr. Teofil Zygmunt Ziemba, prof. w gimn. św. Anny.*

— Już wyszedł z druku zeszyt 2gi Biblioteki powieści kryminalnych zawierający powiastkę *Odkrycie Mordercy.* Jest to powieść na wzór z tysiąca i jednej nocy, bez żadnego sensu moralnego. Nie rozumiemy po co podobne głupstwa importować do naszej literatury, tracić pieniądze na papier i druk, kiedy tyle pożytecznych rzeczy leży odłogiem, nie mogąc doczekać się nakładcy. I dla kogo jest przeznaczoną ta Biblioteka kryminalna? ludzie wykształceni tego czytać nie będą, jest to więc chyba tylko spekulacya na klasy nie wykształcone, a tym tembardziej należy podawać zdrowy pokarm, nie zaś chorobliwe wybryki zagranicznej literatury.

— Nakładem Karola Wilda opuściło druk dziełko pt. *Lwów w r. 1809* ustąpienie Austryaków. Zajęcie miasta przez 17 żołnierzy polskich. Moskiewskie rządy. Opowieść dziejowa spisana na podstawie pamiętnika naocznego świadka, gazet, notatek i dokumentów przez Stanisława Kunasiewicza. Lwów, 1878 r.

— Doktor Levittoux pracuje obecnie nad obszernem dziełem, które ma wyjść w języku polskim, p. t. „Dwadzieścia pięć lat praktyki lekarskiej“, i obejmować obserwacye autora z działu chorób nerwowych, jak: bóle nerwów, taniec św. Wita, wielka choroba, histerja, gastralgia (kurcze żołądka) — choroby gardła, jak krup i wszelkie zapalenia — choroby płuc, jak zapalenia, katary suchoty — choroby serca, wątroby i żołądka. W dodatku traktowane będą choroby dzieci.

— Sprawa pomnika dla Moniuszki, zaczyna znowu wchodzić na drogę urzeczywistnienia.

Jak donosi „Biesiada“ Dr. Malcz, członek komitetu Towarzystwa Muzycznego, zajmuje się obecnie zakupieniem miejsca na cmentarzu, wyrestaurowaniem nowego grobowca, do którego w swoim czasie mają być przeniesione zwłoki Moniuszki.

Fundusz złoży się z datku hojnego ofiarodawcy, p. Leopolda Kronenberga, z summy wyznaczonej przez Towarzystwo Muzyczne, a wreszcie ze sprzedaży dotychczasowego grobu familijnego.

— Na wystawę paryzką przygotowuje między innemi młody malarz z Krakowa p. Witold Pianicki duży obraz p. t. „Bitwa pod Cecorą.“

— Z trup prowincyonalnych, goszczących w Warszawie, po ukończeniu sezonu pan Texel udaje się do Łodzi, a potem do Kielc, pan Rybacki do Kalisza, pan Kremski z Alhambry do Łomży i Suwałk, pan Trapszo (towarzystwo działowe) do Płocka.

— Młody nasz przyrodnik p. Jan Stolzman, wraz z panem Jelskim, udali się, jak donosi „Gazeta Handlowa“, w podróż do Kordylierów, zabrawszy ze sobą żywność na rok cały, oraz nasiona jarzyn rozmaitych, a także odpowiednią liczbę koni, mułów i kilku murzynów przewodników.

Szkoły.

— Szkół realnych w warszawskim okręgu naukowym jest trzy: warszawska z dwoma oddziałami zasadniczym i handlowym, łowicka i włocławska. W zeszłym roku szkolnym z warszawskiej szkoły wyszło 55 uczniów z atestami z 6-ciu lub 7-miu klas, z włocławskiej 29 i z łowickiej 16, ogółem stu.

— Mieszkańcy Konina odznaczają się godną uwagi gorliwością w rzeczach oświaty. W mieście tem do niedawna jeszcze znajdowała się tylko szkoła dwuklasowa — otóż mieszkańcy Konina powzięli myśl założenia w swem mieście szkoły czteroklasowej i zebrawszy między sobą odpowiednie fundusze, po uzyskaniu zezwolenia władz, przyprowadzają obecnie zamiar swój do skutku. Szkoła ma być filologiczna. Na dyrektora jej powołany został p. Franciszek Tworkowski, b. nauczyciel rządowego gimnazyum w Piotrkowie, który w tym celu umyślnie porzucił swą posadę.

— Instytut politechniczny. „Gazeta Łódzka“ zaprzecza wiadomości podanej przez „Gazetę Handlową“, jakoby projekt założenia instytutu politechnicznego w Łodzi przez mieszkańców tego miasta zaniechany został.

„Gazeta Handlowa“ wniosek swój oparła na rozporządzeniu prezydenta miasta Łodzi, który opierając się na decyzyi rządu gubernialnego, postanowił, aby plac darowany przez miasto na rzecz przyszłego instytutu, przeszedł na rzecz skarbu. Plac ten jednak ma być zwrócony, jak skoro projekt instytutu politechnicznego dojdzie do skutku.

Przemysł.

— Stan przemysłu i rzemiosł w Warszawie w ciągu roku 1876, wykazał w porównaniu z rokiem 1875 przybytek dwudziestu fabryk i zwiększenie się wartości produkcyi o 8,00.926 rs. W ciągu tegoż czasu istniało w Warszawie 237 fabryk zatrudniających 9.997 robotników, nadto według wykazów statystycznych uprawiało rzemiosło 3.122 majstrów, 5.028 czeladzi i 6.664 uczniów. Jeżli wszakże zestawienie kilku lat ostatnich wskazuje nieustanny rozwój przemysłu i rzemiosł, jako też zwiększenie się coroczne produkcyi tychże, rok bieżący ujemne pod tym względem przyniesie podobno rezultaty, nie tylko bowiem przemysł w swoim rozwoju uległ dziś zastojowi, ale nawet zwykła produkcya, przedstawia znaczne zmniejszenie tak co do ilości wyrobów, jako też i liczby pracowników.

— Nowy użytek z tektury smołowcowej. Rozpowszechnia się obijanie nią końców belek, wpuszczanych w mur. Dotychczas w celu uniknięcia próchnienia takich belek, obmazywano je gliną, lecz nowy sposób okazuje się podobno daleko praktyczniejszym i względnie nie drogim.

— Dowiadujemy się o ważnem odkryciu dokonanem w Mroczkowie nie daleko od Suchedniowa. W zaniedbanej oddawna kopalni znaleziono rodzaj rudy żelaznej, bardzo wysoko dziś cenionej. Nadaje się ona bowiem najlepiej do wyrobu stali systemem Bessemera, używanej na szyny kolejowe. Odkrycie to w obecnym mianowicie czasie jest wielkiej doniosłości dla naszego przemysłu górniczego.

— Przemysł warszawski zaczyna obecnie na dobre konkurować z zagranicznym. Liczni kupcy z Rossyi nawet z bardzo oddalonych miejscowości przyjeżdżają tam robić duże zakupy a szczególniej wyrobów galanteryjnych. Np., w jednej z tamtejszych fabryk kwiatów, kupiec z Rossyi zrobił obstalunek na 5000 złr., samych tylko kwiatów żałobnych.

— Ceramika. Ostatni sierpn. zeszyt „Bibliot. Warszawskiej“, zawiera ciekawy artykuł pióra p. Ludwika Gołębiowskiego pod tyt.: „Z dziejów Ceramiki.“ W artykule tym znajdujemy ustęp poświęcony fabryce fajansu w Warszawie, istniejącej pod patronatem króla Stanisława Augusta. Fabryka ta zbudowaną była w posiadłościach Kickich na wzgórzach, gdzie dziś są ogrody i pałac Belwederski, skład zaś jej istniał w domu Wasilewskich później Malcza, dziś zniesionym.

W r. 1789 król wyprawiając do Stambułu Piotra Potockiego, pomiędzy innemi dla sułtana darami przeznaczył serwis fajansowy z rzeczonej fabryki.

W zbiorze Józefowicza, pisarza senatu, znajdowała się waza wyrobiona do tegoż serwisu, tudzież czarka fajansowa, podobna przyozdobieniem do wazy i półmisków. Ta ostatnia ma 25 centimetrów średnicy a cztery wysokości i pokryta jest złoceniem i napisami tureckiemi.

Uczony oryentalista Antoni Muchliński odczytał pięć napisów tureckich umieszczonych w medalionie środkowym czarki.

Wyroby z fabryki, o której mowa, nie miały oznaczonego signum, na wielu z nich znajduje się wszakże napis: *Varsovie.*

Telegraf podróżny.

— Specyalny sprawozdawca wiedeńskiej „Pressy“ w ten sposób opisuje telegraf podróżny w kwaterze głównej naczelnego wodza armii południowej rossyjskiej:

„Przyszedłem dziś do biura telegraficznego i przyniosłem depeszę napisaną po niemiecku rossyjskiemi czcionkami. „Po co się pan fatyguje, odrzekł urzędnik, mówimy i po niemiecku.“ Poprosiłem go zaraz, ażeby mi pokazał właściwe biuro. Siedział w namiocie, obok jakiegoś powozu, który poczytywałem za własność jednego z generałów, pokazało się jednak, że powóz ten był właśnie „biurem telegraficznem.“ Na miejscu kozła znajdował się stół z aparatem, w głębi biurko, a przez utwierdzoną w dachu rurkę przechodził drut telegraficzny. Trudno sobie wyobrazić wygodniejszy telegraf podróżny...“

Nekrologia.

† Dnia 15go bm. zmarł nagle we Lwowie Stanisław *Szczepanowski* niegdyś oficer b. wojsk polskich, ozdobiony krzyżem wojskowej zasługi, głośny swojego czasu gitarzysta. W artystycznej wędrówce swojej po całej niemal Europie, najdłuższe i najpiękniejsze lata swego życia spędził w Hiszpanii, gdzie na dworze królowej Izabelli czas pewien przebywał — uzyskawszy od niej tytuł „nadwornego solisty“ a w dodatku, honorową gitarę bogato inkrustowaną złotem i perłową macicą. Od lat kilkunastu osiadł stale we Lwowie, skąd od czasu do czasu odbywał dłuższe lub krótsze wędrówki po kraju, grywając z równą biegłością na wiolonczeli, której w ostatnich czasach głównie się poświęcił. Była to sympatyczna i oryginalna postać, pełna ciepła wewnętrznego i tej sarmackiej nieopatrzności, która nie liczy się nigdy z jutrem a i o dzień dzisiejszy dba mało. Przed kilkunastu laty wracającego z długiej podróży po obczyźnie, witało Szczepanowskiego wspólnym obiadem liczne grono obywateli tutejszych, a przy tej sposobności wypowiedział Kornel Ujejski wiersz tak piękny i tak podniosłego nastroju, że dziś, u trumny Szczepanowskiego, pragnąc mu złożyć hołd ostatni, nie znajdujemy właściwego na to wyrazu jak przytoczenie wspomnianej improwizacyi:

Miał smyk dzielny, szablę starą,
Grał nią na moskiewskiej skórze;
Potem wędrował z gitarą,
Oklasków podnosząc burzę.

I cóż mistrz taki zarobi,
Po cudzych nie pnąc się karkach?
Krzyżyk piersi jego zdobi,
Krzyż wielki dźwiga na barkach.

Rozbitek, któż nie rozbitkiem,
Kiedy ojczyzna w rozbiciu...
Cześć jemu! ten żył z pożytkiem
Kto takie krzyże miał w życiu!

ROZMAITOŚCI.

— Smutny epizod. Ścisłe wypełnianie obowiązków naraża częstokroć ludzi na niebezpieczeństwa, których przewidzieć, ani też którym zapobiedz nie są w stanie.

Czyż może być, zdaje się, niewinniejsze powołanie jak listonosza? Jakie ztąd grozić mu mogą niebezpieczeństwa?

Tymczasem inaczej się dzieje.

Komuż z czytelników wyszedł z pamięci Franceesconi i nieszczęśliwa jego chciwości ofiara?

Skromny listonosz, którego nazwisko dziś pomimo krwawego dramatu zniknęło we mgle niepamięci, życiem przypłacił uczciwe wypełnianie swoich obowiązków.

Podobny niemal los spotkał niedawno brata jego po fachu w Warszawie.

A było to tak:

Otrzymawszy z biura pocztowego list rekomendowany do pana ***, listonosz trzymając się adresu, wszedł do wskazanego mieszkania.

Tu przyjął go kamerdyner nieobecnego pana i zażądał oddania sobie do rąk listu.

Listonosz wezwaniu temu nie uczynił zadość, tłómacząc się, iż listy rekomendowane oddaje się tylko do rąk własnych adresanta.

Kamerdyner nalegał — listonosz stał twardo przy swoim.

Od słowa do słowa, przyszło do zwady, wśród której twardy służalec pański począwszy od grubiańskich obelg, wezwał do pomocy ogromnego buldoga i poszczuł nim biednego listonosza.

Buldog z właściwą rodzajowi temu zajadłością rzucił się na ofiarę, obalił ją na ziemię i zadał pięć tak głębokich ran zębami w ramię, iż nieszczęśliwy listonosz prosto niemal ztamtąd odwiezionym został do szpitala.

Od owej chwili upłynęło już tygodni parę. Życie sługi pocztowego wisi wciąż jeszcze na włosku i zaręczyć nie można czy i w tym razie spełnienie obowiązku nie będzie kosztowało życia człowieka.

= Przy ujściu Dniestru w ostatnich czasach zauważono taką ilość ryb, jaką najstarsi ludzie nie pamiętają. „Odeski Wiestnik“ fenomenalny ten objaw tłómaczy emigracyą ryb spłoszonych hukiem strzałów z Dunaju, w więcej spokojne i bezpieczne miejsca.

= Na wystawie róż i owoców w Nowym Yorku, pewien ogrodnik zadziwiał wszystkich poziomkami olbrzymiej wielkości. Największa poziomka miała prawie stopę obwodu. Dziesięć sztuk ważyło więcej niż funt, w smaku miały być wyborne.

Niechaj Bóg broni aby u nas hodowano podobne owoce, bo w stosunku cen dzisiejszych, jedna taka poziomka na deser, kosztowałaby zapewne więcej niż cały obiad.

= Dziennikarska robota, na pozór nikła i nic nie znacząca, materyalnie po obliczeniu przedstawia się nader pokaźnie. Oto przypuściwszy, iż wprawny dziennikarz codziennie spisuje 200 wierszy, okaże się w miesiącu suma ich będzie 6.000, w r. 72.000, a po latach trzydziestu cyfra ta urośnie do 2,160.000. Miesięczna produkcya jednego pióra dziennikarskiego daje w miesiącu spory tom, w roku takich dwanaście, a w dniu trzydziestoletniego jubileuszu biblioteczkę złożoną z 360 tomów, których wartość dla autora wynosi ogółem, licząc wiersz przeciętnie po 3 centy — 64.800 zł.

Rozliczając dalej na wiersz 86 liter, obaczymy, że ręka dziennikarza w ciągu tej trzydziestoletniej pisaniny postawi 108 milionów głosek wielkiego i małego abecadła.

Niechaj dziesięć wierszy złożą się na długość jednego metra, to cała ta działalność rozwinięta, przedstawi długość 216,009 metrów; rozumie się, jeżeli autor był prozaikiem i na łokcie rymowanych wierszy nie pisywał.

= Na zebraniu u jednego ze znaczniejszych kupców warszawskich, podjęty został projekt zbierania w Warszawie składki groszowej, która by była użytą na zapomogę dla pozostałych żon i familii powołanych obecnie do wojska.

Projekt taki ma być przedstawionym prezydentowi Warszawy dla uzyskania odpowiedniej sankcyi ze strony władzy, w głównych zarysach projekt ten jest następującym:

Ofiarowanie dobrowolne przez każdego mieszkańca Warszawy za pośrednictwem właścicieli domów po jednej kopiejce miesięcznie.

Zebrana ztąd kwota, wynosząca najmniej 3000 rs. miesięcznie, użytą zostanie na wsparcie pozostałych rodzin samych tylko warszawiaków, składka zacznie być zbieraną jak najwcześniej i pobór jej trwać ma aż do końca obecnej wojny.

= Zazdrosne żony czytajcie!

Działo się w tych czasach w Konstantynopolu. Policya czujnie przestrzegała porządku publicznego na ulicach, tropiąc dniem i nocą złodziei, zbójów, rzezimieszków i spiskowych. Na przedmieściu Galata, tam gdzie „drogi uczciwych“ się kończą, a „ścieżki zepsucia“ się zaczynają, szedł pewnego wieczoru jeden z tajnych ajentów policyjnych, gdy wtem bacznemu jego oku nawinęła się jakaś podejrzana figura smukłego młodzieńca, sunącego ostrożnie przy samym murze, wymijającego przechodniów, i zakrywającego twarz chustką, ile razy światło latarni na nią padało.

— Aha! ptaszek, pomyślał sobie tajny ajent; zapewne spiskowiec jaki, spieszy pewnie na jakie posiedzenie rewolucyonistów. Doskonała gratka! Capniemy go na uczynku...

Przy najbliższej stacyi policyjnej zawezwał pomocy stojącego strażnika i podejrzanego młodzieńca przyaresztował.

Kadi (sędzia) badawczem okiem spojrzał na przyprowadzonego więźnia, wyjął z ust długi cybuch, i wypuszczając duży kłąb dymu uśmiechnął się z zadowoleniem, ale potem wnet zachmurzyło się poważne oblicze sędziego i zawołał:

— Maszallah! Kobieta w mężkich sukniach — zgroza!

Rzecz się wyjaśniła.

Pani F., młoda, ładna, zazdrosna mężateczka, miała zamiar przekonać się w przebraniu mężkiem, gdzie jej małżonek najczęściej wieczory spędza, — niestety! ręka fatalności, w postaci podejrzliwego sługi prawa odwiodła ją od tego.

Kadi, pobłażliwy dla małżeńskiej słabości, rozkazał piękną podejrzaną pod asystencyą dwóch zaptjów odprowadzić do domu, gdzie na szczęście jeszcze pana małżonka nie było z powrotem, sam zaś poprawił fez na głowie, i owinąwszy się chmurą dymu, pykał dalej ową fajkę i uśmiechał się znacząco. Prawdopodobnie przypomniał sobie swój własny konak w Stambule, w którym za kratami u okna siedzi urocza Ajesza lub Dinarsade; drzwi do jej komnaty zaryglowane na kilka spustów, a u progu leży na straży wierny Mehmed lub Ali, negr herkulesowej budowy ciała i żelaznych muskułów, baczne oko rzucając w każdą stronę, jak brytan, strożujący u wrot domu.

O nim to zapewne myślał Radi-effendi z pełnym zaufania i spokoju uśmiechem, mrucząc sobie pod nosem:

— Wychodzić z domu po nocy, samej, przybierać się po mężku — oho!... nic z tego!

= W meczecie wsi Haneratbul, leżącej nad jeziorem Dula w Kaszemirze, przechowaną jest relikwia Mahometa — włos z brody proroka. Włos ten złożony jest w szklannem naczyniu ozdobionem złotem i sześć razy do roku ukazywany bywa prawowiernym w dnie uroczyste, ustanowione na cześć owego włosa. W rzeczone święta zbiera się tłum mahometan, celem składania hołdu tej relikwii.

= Don Pedro brazylijski podróżuje po Szwajcaryi. Raz siedział na ławce w ogrodzie publicznym, obok niego zaś usiadł jakiś Niemiec. Zawiązała się rozmowa.

Niemiec odpowiedział cesarzowi, że ma fabrykę kapeluszy w Wiedniu, która przynosi mu piętnaście tysięcy reńskich dochodu.

— To dobry interes, rzekł don Pedro.

— A pan jaką ma fabrykę? spytał Niemiec.

— Ja panie, jestem cesarzem brazylijskim.

— No, to także nie zły interes, zakonkludował z powagą kapelusznik.

= Dramat na rusztowaniu. Przed sądem kryminalnym w Owen (Kentucky) stawiony został w tych czasach niejaki Ryszard Shuk oskarżony o zabicie sąsiada.

Wprawdzie obwiniony zapierał się zarzuconej mu zbrodni, ale sąd zdawał się być w posiadaniu dostatecznych dowodów przestępstwa i skazał obwinionego na śmierć przez powieszenie.

W dniu oznaczonym na egzekucyę wyprowadzono Shuka z więzienia w towarzystwie szeryfa i pastora protestanckiego. Chociaż bardzo blady szedł jednak pewnym krokiem na miejsce stracenia.

Po odczytaniu wyroku Shuk zwrócił się do licznie zgromadzonego tłumu widzów w zamiarze powiedzenia ostatnich kilku słów.

Zaledwie jednak zaczął mówić, zerwał się gwałtowny wicher z deszczem i przerwał jego mowę.

Szeryf, pastor i delinkwent przedstawiali na rusztowaniu grupę, którą z pomocą jednego parasola zasłaniała się od burzy i deszczu. Tłum stał nieporuszony. Nikt nie chciał stracić swego, z takim trudem zdobytego, miejsca. Trwało to 25 minut. Po upływie tego czasu kiedy już deszcz padać przestał, Shuk rozpoczął na nowo swoję mowę i nie tracąc zimnej krwi uzasadniał szczegółowo swoją niewinność. Ten spokój i pewien akcent szczerości wywarły na słuchaczach wpływ głęboki. Wprawdzie nie zupełnie wierzono wszystkiemu, co Shuk na obronę swoję przywodził, ale zawsze wątpliwość zaczęła opanowywać umysły obecnych.

Po mowie delinkwenta nastąpiły z kolei zwykłe w takich razach modlitwy i hymny śpiewane przez kapłana, potem szeryf zawiadomił Shuka, że godzina jego śmierci nadeszła i rozpoczął straszne przygotowania poprzedzające powieszenie.

Na ten widok Shuk stracił dotychczasową swoję spokojność i rozdzierającym serce głosem krzyknął: „Na pomoc! Nie wieszajcie mnie! Jestem niewinny!“...

Naraz uderzył piorun i burza na nowo nadciągać zaczęła.

W tejże samej chwili szeryf nacisnął sprężynę i podłoga pod nieszczęśliwym zapadła.

Jednocześnie tłum rzucił się naprzód krzycząc na kata, aby wstrzymał się z ekzekucyą.

Konstablowie z karabinami w ręku odparli ataki tłumu, tak że nikt nie mógł zbliżyć się do rusztowania.

Publiczność wyrażała swoją sympatyę dla skazanego miotając obelgi na szeryfa i konstablów.

Nie upłynęło kilka minut, a nieszczęśliwy Shuk wyzionął ducha...

Dzienniki miejscowe powątpiewają o słuszności wyroku sądu kryminalnego.

Od Redakcyi.

W. Pan P. w Leżajsku. *Premie* wysyłamy tylko tym prenumeratorom, którzy mają przedpłaconą prenumeratę na *Tydzień*. Nie możemy zaś wysyłać ani tym, którzy dotąd pomimo, iż kwartał jest na ukończeniu prenumeraty nie wyrównali, ani tym, którzy nadesłali mniej niż prenumerata wynosi tj. mniej niż 4·40 c. Dajemy *premie* nadzwyczaj kosztowne, ale też sądzimy, że prenumeratorowie zechcą to uwzględnić i regularnem uiszczaniem prenumeraty umożliwią nam podobne postępowanie na przyszłość. Przedpłata miejscowa we Lwowie wynosi 3·50 c. z przesyłką w Austryi 4·40.

Premie w książkach należą do rocznika, który się rozpoczyna z dniem 1 października.

W. Pan M. M. w New-Yorku. Otrzymaliśmy na *Tydzień* 17·60 i na *Kaukaz* 3 złr. Prenumerata roczna na *Tydzień* 40 fr. (czyli 20 złr.) na Kaukaz 7 fr. (czyli 3·50.) Brakuje więc do uzupełnienia 2 złr. 90 c Reklamowane Nra. wysłaliśmy i obecnie wysyłamy ponownie.

Sz. T. P. P. w Monachium. Przedpłata „Tygodnia“ wynosi kwartalnie 8 M. 50 f. z opakowaniem 9 M.

PP. autorów, którzy życzą aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu“ znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 4.

	str.
Spółka bazarowa dla przemysłu domowego przez Teofila Merunowicza	49
Krwawe znamię, powieść przez J. I. Kraszewskiego (c. d.)	49
Sprawa polsko-pruska na Soborze Konstancyeńskim przez M. Kanteckiego (c. d.)	50
Wet za wet. Obrazek z życia krakowskiego przez autora: „Kłopotów starego komendanta“. (c. d.)	51
Bohdan Zaleski wobec dziejów liryki polskiej. Studyum A. G. Bema (c. d.)	53
Z pamiętników Karola Brzozowskiego powrót z Bagdadu Eufratem (1871 r.) (c. d.)	54
Studya estetyczne. przez Wojciecha Dzieduszyckiego (c. d.)	55
Z nieznanych poezyi Mieczysława Romanowskiego Daremnie!	56
Czarne Indye przez Juliusza Verne (c. d.)	56
Listy z podróży Sygurda Wiśniowskiego (dok.)	58
Wystawa księgarska	59
Teatr	61
Tydzień lwowski	61
Bibliografia.	62
Wiadomości ze świata	63
Rozmaitości. Od Redakcyi.	63

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). **Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.**